



Zane Grey

# BLASK GWIAZD ZACHODU



45

ISBN 978-83-66980-83-9

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA  
SZLAKIEM PRZYGODY**

**Zane Grey**

**BLASK GWIAZD ZACHODU**



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jędrzców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.



Zane Grey



## BLASK GWIAZD ZACHODU

**Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking**

**Sto dwudziesta publikacja elektroniczna  
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty piąty tom serii:  
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:  
*The Light of Western Stars*

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2023

13 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek  
© Copyright for the cover and inside illustrations  
by Dariusz Kocurek, 2023

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak  
Projekt okładki: Barbara Linda  
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Wydanie I**

**© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023**

**ISSN 2449-9137**  
**ISBN 978-83-66980-83-9**

# Rozdział I

## Dżentelmen z bezkresnego pustkowia

**K**iedy Madeline Hammond wysiadła z pociągu w El Cajon, w Nowym Meksyku była już prawie północ, a jej pierwszym wrażeniem, jakiego doznała, było doświadczenie ogromnej i ciemnej przestrzeni, zimnej, wietrznej pustki, dziwnej i cichej, rozciągającej się pod wielkimi, mrugającymi, jasnymi gwiazdami.

– Nikt tu na panienkę nie czeka – odezwał się konduktor, lekko zniecierpliwiony.

– Telegrafowałam do brata – odrzekła Madeline. – Pociąg się spóźnił... może znudziło mu się czekanie. Na pewno zaraz tu będzie, ale na wypadek, gdyby się nie pojawił, z pewnością jest tu jakiś hotel?

– Są miejsca, gdzie można przenocować. Proszę zapytać zawiadowcę stacji, to pokaże. Proszę mi wybaczyć, ale dama nie powinna przebywać tu sama w nocy. To dzikie małe miasteczko – mieszkają tu głównie Meksykanie, górnicy, kowboje<sup>1</sup>, a oni bardzo lubią hulanki i pijatyki. Poza tym rewolucja po drugiej stronie granicy podgrzała trochę wszystkim nastroje. Panienko, myślę, że będzie wystarczająco bezpiecznie, jeśli...

– Dziękuję. Ani trochę się nie boję.

Pociąg ruszył, a panna Hammond skierowała się w stronę słabo oświetlonego budynku stacji. Już miała wejść do środka, gdy w drzwiach natknęła się na Meksykanina w sombrero<sup>2</sup> zakrywającym mu twarz, i *sarape*<sup>3</sup> okrywającym mu ramiona.

– Czy ktoś tu czeka na pannę Hammond? – spytała.

---

<sup>1</sup> *Kowboj* (ang. cowboy) – pasterz bydła i koni w Ameryce Północnej (USA).

<sup>2</sup> *Sombrero* (hiszp.) – kapelusz męski, najczęściej filcowy, o szerokim rondzie i stożkowatej główce, przepasany sznurem.

<sup>3</sup> *Sarape* (zarape, hiszp.) – wełniany szal lub koc noszony jako peleryna w Ameryce Łacińskiej.



– *No sabe, señora*<sup>1</sup> – odpowiedział spod otulającego go koca, i zniknął w ciemnościach.

Weszła do pustej poczekalni zalanej żółtym przydymionym światłem lampy naftowej. Okienko kasowe było otwarte, ale nie zauważyła przez nie ani zawiadowcy stacji, ani telegrafisty w małym pomieszczeniu. Aparat telegraficzny cicho stukął.

Madeline Hammond stała, uderzając zgrabną stopą o podłogę, i z pewnym rozbawieniem porównywała przyjęcie w El Cajon z tym, którego doświadczyła, gdy wysiadła z pociągu na Grand Central<sup>2</sup>. Jedyne raz, kiedy pamiętała, że była tak sama, jak teraz, to kiedy minęła się ze swoją służącą i spóźniła na pociąg, gdzieś pod Wersalem – przygoda, która była niezwykle i bardzo przyjemnym przerywnikiem w jej monotonnym życiu, przez większość którego towarzyszyła jej przyzwoitka. Madeline przeszła przez poczekalnię do okna, i podnosząc woalkę, wyjrzała na zewnątrz. W pierwszej chwili była w stanie wypatrzyć tylko kilka słabych światła, a i te były rozmazane. W miarę jak jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła wspaniale zbudowanego konia, stojącego niedaleko okna. Dalej był pusty plac, a jeśli była to nawet ulica, to najszersza, jaką Madeline kiedykolwiek widziała. Z niskich płaskich budynków padały słabe światła. Zauważyła ciemne kształty stadka koni; wszystkie stały bez ruchu z opuszczonymi łbami. Przez dziurę w szybie napłynęła chłodna bryza, a wraz z nią prostackie i ordynarne dźwięki – nieharmonijne połączenie śmiechu i krzyku oraz tupotu butów do głośnej muzyki gramofonu.

„Zachodnie świętowanie – pomyślała panna Hammond, odchodząc od okna. – Co robić? Zaczekam tutaj. Może zawiadowca stacji zaraz wróci, albo przyjdzie po mnie Alfred”.

Usiadła, by zaczekać i zaczęła analizować przyczyny, które doprowadziły ją do tej niezwyklej sytuacji, w jakiej się znalazła. Fakt, że Madeline Hammond znajdowała się sama o późnej porze na małej, obskurnej stacji kolejowej na Zachodzie, był rzeczywiście niezwyklej.

---

<sup>1</sup> *No sabe, señora* (hiszp.) – Nie wiem, proszę pani.

<sup>2</sup> *Grand Central Station* (ang.) – Dworzec Centralny w Nowym Jorku.

Zakończenie jej debiutanckiego roku<sup>1</sup> zostało naznaczone jedy-  
nym nieszczęśliwym doświadczeniem w jej życiu – hańbą jej brata  
i opuszczeniem przez niego domu rodzinnego. Wtedy pojawiła się  
u niej pewna skłonność, brak satysfakcji z idealnego, błyskotliwego  
życia, jakie zaoferowało jej społeczeństwo. Zmiana ta zachodziła stop-  
niowo i zanim zdała sobie z niej sprawę, była już trwała. Przez jakiś  
czas aktywne życie na świeżym powietrzu – golf, tenis, żeglarstwo –  
hamowało świadomość tego przed chorobliwą introspekcją. Nadszedł  
wreszcie taki czas, kiedy nawet te rzeczy straciły dla niej urok, a wtedy  
uwierzyła, że naprawdę jest chora na umyśle. Podróże jej nie pomogły.

Nastąpiły miesiące niepokoju, dziwnie bolesnego zdumienia, że po-  
zycja, bogactwo, popularność już dłużej jej nie wystarczały. Wierzyła,  
że spełniły się marzenia i fantazje dziewczyny o staniu się światową  
kobietą. Dalej brała udział, jak robiła to wcześniej, w pełnym blich-  
tru przedstawieniu, ale teraz widziała prawdę, że w jej luksusowym  
życiu nie ma niczego, co nadawałoby mu znaczenie.

Czasami w jej wnętrzu zapalały się, w dziwnych momentach, za-  
powiedzi rodzącego się buntu. Zapamiętała szczególnie dobrze jeden  
wieczór w operze, kiedy kurtyna podniosła się i ukazał się wyjątkowo  
dobrze wykonany fragment scenografii – rozległe, ogromne pustko-  
wie, sięgające po bezkres nocnego, rozświetlonego gwiazdami nieba.  
Myśl, jaką podsunął jej ten obraz, ta samotna, dzika ziemia, z ogrom-  
nym, błękitnym sklepieniem pełnym gwiazd nieba, wypełniła jej duszę  
dziwnym, słodkim spokojem.

Kiedy zmieniła się dekoracja, to nieokreślone nowe uczucie spoko-  
ju zniknęło i odwróciła się od sceny zirytowana. Spojrzała na długi,  
zakrzywiony rząd pełnych blichtru łóż, które reprezentowały jej świat.  
Było to dystygnowane i wspaniałe towarzystwo – bogactwo, moda,  
kultura, piękno i esencja narodu, a ona, Madeline Hammond, była jego  
częścią. Uśmiechała się, słuchała, rozmawiała z dżentelmenami, któ-  
rzy od czasu do czasu zachodzili do łoży Hammondów, i czuła, że ani  
przez moment nie była naturalna, nie była prawdziwą sobą. Zastana-  
wiała się, dlaczego ci ludzie nie mogli w jakiś sposób być innymi; nie

---

<sup>1</sup> *Debiutancki rok* – oficjalne wprowadzenie do wyższych sfer młodych dziewcząt.

potrafiła jednak powiedzieć, kim chciała, by byli. Gdyby byli inni, nie pasowaliby do tego miejsca; w rzeczywistości w ogóle by ich tu nie było. Mimo to jednak pomyślała tęsknie, że czegoś im brakowało.

Nagle zdała sobie sprawę, że wyszłaby za jednego z tych mężczyzn, jeśli się nie zbuntuje. Dopadło ją wielkie zmęczenie, doznała lodowatego uklucia, że jej życie straciło sens. Miała dość wytwornego towarzystwa. Była zmęczona eleganckimi, niestrudżonymi niczym mężczyznami, którzy jedynie chcieli ją zadowolić. Była zmęczona tym, że ją uwielbiano, podziwiano, kochano, obserwowano i naprzykrzano się jej; zmęczona ludźmi, zmęczona domami, hałasem, pretensjonalnością i luksusem. Była tak bardzo zmęczona samą sobą!

W tych odludnych, bezkresnych ziemiach i pozbawionych uczuć zimnych gwiazdach, w tej odważnie namalowanej scenerii, dostrzegła coś, co poruszyło jej duszę. To uczucie nie trwało długo. Nie mogła go powtórnie przywołać. Wyobraziła sobie, jak przemawia do niej śmiałość tej sceny, że człowiek, który ją namalował, znalazł inspirację, radość, siłę i spokój w surowej naturze. W końcu zrozumiała, czego potrzebuje: być sama, rozmyślać długimi godzinami, wpatrywać się w samotne, ciche, ciemne przestrzenie, oglądać gwiazdy, spojrzeć w głąb swej duszy, odnaleźć prawdziwą siebie.

Wtedy to po raz pierwszy pomyślała o odwiedzeniu brata, który wyjechał na Zachód, by spróbować szczęścia wśród hodowców bydła. Tak się akurat złożyło, że jej przyjaciele wybierali się właśnie do Kalifornii<sup>1</sup>, i podjęła szybką decyzję o podróży z nimi. Kiedy ze spokojem oświadczyła, że ma zamiar wyjechać na Zachód, jej matka krzyknęła ze zdumienia, a ojciec, poruszony wspomnieniem czarnej owcy w rodzinie, wpatrywał się w nią błyszczącymi od łez oczyma.

– Ach to tak, Madeline! Chcesz zobaczyć się z tym szaleńcem!

Potem ogarnął go gniew, który wciąż czuł do swego krnąbrnego syna, i zabronił Madeline jechać. Jej matka zapomniała o swej wyniosłej, pewnej siebie postawie i godności. Natomiast Madeline wykazała się determinacją, której nigdy wcześniej nie okazywała. Trwała twardo

---

<sup>1</sup> *Kalifornia* (ang. *California*) – stan w USA, leżący na zachodnim wybrzeżu, nad Oceanem Spokojnym.

przy swoim postanowieniu, przypominając rodzicom, że ma dwadzieścia cztery lata i jest panią samej siebie. W końcu wygrała i to bez zdradzenia prawdziwego stanu swego umysłu.

Decyzję o odwiedzeniu brata podjęła pośpiesznie i zaraz zostały podjęte przygotowania do podróży. Nie było czasu na to, żeby mu o tym napisać, dlatego zatelegrafowała do niego z Nowego Jorku, a dzień później również z Chicago, gdzie jej przyjaciele, z którymi podróżowała, zostali zatrzymani przez chorobę. Nic nie mogło już zmienić jej zdania. Madeline planowała przybycie do El Cajon trzeciego października, w urodziny brata, i udało jej się to, choć przybyła o północy, gdyż pociąg miał kilka godzin spóźnienia. Nie wiedziała, czy Alfred otrzymał jej wiadomość, czy nie, a to, co teraz ją niepokoiło, to fakt, że przyjechała, a on nie wyszedł jej na spotkanie.

Nie trzeba było długo czekać, aby myśli o przeszłości ustąpiły całkowicie miejsca problemom chwili obecnej.

– Mam nadzieję, że Alfredowi nic się nie stało – powiedziała do siebie. – Czuł się dobrze, świetnie sobie radził, kiedy ostatnio pisał. Prawdę mówiąc, było to jakiś czas temu, ale z drugiej strony, nie pisał zbyt często. Wszystko z nim w porządku. Niedługo się tu pojawi i bardzo się wtedy ucieszę! Ciekawe, czy się zmienił.

Kiedy Madeline czekała tak w żółtawym półmroku, słyszała słabe, przerywane stukanie aparatu telegraficznego, ciche buczenie drutów, sporadyczny odgłos uderzenia końskiej podkowy o ziemię, i daleki zablakany śmiech wznoszący się ponad odgłosami tańca. Te pospolite rzeczy były jej obce. Poczowała, jak serce zaczęło bić jej szybciej. Madeline posiadała niewielką wiedzę na temat Zachodu. Jak cała jej klasa społeczna, podróżowała po Europie i mało interesowała się Ameryką. Te kilka listów od jej brata zagmatwało jej, i tak już niejasne, wyobrażenia zarówno o równinach i górach, jak i o kowbojach i stadach bydła. Była zadziwiona ciągnącymi się bez końca rozległymi ziemiami, które przebyła, a jeśli podczas całej tej podróży było coś atrakcyjnego, to minęła to w nocy. Teraz siedziała tutaj, na obskurnej małej stacji, a druty telegraficzne jęczały żałośnie na wietrze.

Delikatny dźwięk, coś jakby grzechotanie cienkich łańcuchów, odwrócił jej uwagę. W pierwszej chwili pomyślała, że to druty telegraficzne. Wtem usłyszała kroki. Drzwi otworzyły się szeroko i wszedł

wysoki mężczyzna, a wraz z nim – dzwoniące brzęczenie. Zdała sobie sprawę, że dźwięk pochodził od ostróg<sup>1</sup> przy jego butach. Mężczyzna był kowbojem, a jego wejście żywo skojarzyło jej się z wejściem Dustina Farnuma<sup>2</sup> w pierwszym akcie *Wirgińczyka*<sup>3</sup>.

– Czy może wskazać mi pan drogę do hotelu? – zapytała Madeline, podnosząc się.

Kowboj zdjął z głowy sombrero, skłonił się i zamiótł nim podłogę, co pomimo swej przesady, miało to w sobie jakiś prymitywny wdzięk. Zrobił dwa długie kroki w jej stronę.

– Czy pani jest zamężna?

W przeszłości poczucie humoru panny Hammond pomagało jej często w przymykaniu oka na cyniczne zachowanie charakterystyczne dla jej klasy. Milczała i cieszyła się, że w obecnej chwili woalka zakrywała jej twarz. Była przygotowana na to, że kowboje są raczej osobliwi i ostrzegano ją, że lepiej się z nich nie śmiać.

A ten dżentelmen z bezkresnego pustkowia, pochylił się do przodu i stanowczym ruchem ujął jej lewą dłoń. Nim otrząsnęła się z osłupienia, zdjął jej rękawiczkę.

– Ładna błyskotka, ale to nie obrączka – powiedział wolno. – Bardzo się cieszę, że nie jest pani zamężna.

Puścił jej dłoń i zwrócił rękawiczkę.

– Widzi pani, jedyny hotel w mieście nie przyjmuje zamężnych kobiet.

– Co pan powie? – skomentowała Madeline, próbując zachować się dowcipnie i sprytnie w zaistniałej sytuacji.

– No, pewnie – ciągnął. – To zła reklama dla hoteli, kwatrować zamężne kobiety. To trzyma chłopaków z daleka. Widzi pani, to nie jest Reno<sup>4</sup>.

---

<sup>1</sup> *Ostrogi* – część oporządzenia jeźdźca ułatwiająca prowadzenie konia, przede wszystkim pobudzająca go do biegu.

<sup>2</sup> *Dustin Farnum* (1874-1929) – amerykański aktor, wokalista i tancerz.

<sup>3</sup> *Wirgińczyk* (ang. *The Virginian*) – powieść amerykańskiego pisarza Owena Wistera (1860-1938), opublikowana w 1902 roku.

<sup>4</sup> *Reno* – miasto w USA, w stanie Nevada, nad rzeką Truckee, u podnóża gór Sierra Nevada, w pobliżu granicy z Kalifornią, słynąca z łatwości, z jaką się tam uzyskuje rozwody.

Zaśmiała się chłopięco, a po tym, oraz sposobie, w jaki krzywo założył z powrotem na głowę sombrero, Madeline uświadomiła sobie, że jest pijany. Kiedy instynktownie się cofnęła, nie tylko dokładniej mu się przyjrzała, ale stanęła tak, że światło lepiej oświetlało jego twarz. Wyglądała jak z czerwonego brązu, zuchwała, nieokrzęsana, przenikliwa. Znów się roześmiała, jakby sam siebie rozbawił, a śmiech prawie wcale nie zmienił surowych rysów jego twarzy. Jak wszystkie kobiety, których piękno i urok rozślawiły je przed światem, intuicja panny Hammond rozwinęła się do tego stopnia, że posiadała subtelne i niezwykle wrażliwe zrozumienie męskiej natury i wrażenia, jakie na nich robiła. Ten prosty kowboj, znajdujący się pod wpływem alkoholu, znieważył ją; niemniej jednak, cokolwiek miał na myśli, nie było to zamierzone.

– Będę niezmiernie zobowiązana, jeśli zaprowadzi mnie pan do hotelu – powiedziała.

– Niech pani tu zaczeka – odpowiedział powoli, jakby jego myśl nie nadążała za słowami. – Pójdę po bagażowego.

Podziękowała mu, a kiedy wyszedł, zamykając za sobą drzwi, usiadła i odetchnęła z niemłą ulgą. Przemknęło jej przez myśl, że powinna była wspomnieć imię swego brata. Potem zaczęła zastanawiać się, co życie wśród takich nieokrzęsanych kowbojów uczyniło z Alfredem. Był już wystarczająco szalony w college'u<sup>1</sup>, i wątpiła, czy jakikolwiek kowboj mógłby go czegokolwiek nowego nauczyć. Z całej rodziny ona jedyna wierzyła w ukryte dobro Alfreda Hammonda, a i ta jej wiara ledwie przetrwała dwa lata milczenia.

Czekając tam, przyłapała się znów na słuchaniu jęku wiatru w drutach. Koń na zewnątrz zaczął tupać ciężkimi kopytami o ziemię, a raz nawet zarżał. Wtem usłyszała gwałtowne bębnienie, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, w którym po chwili rozpoznała galop koni. Podeszła do okna, żywiąc nadzieję, że to nadjeżdża jej brat. Lecz w miarę jak dudnienie przybierało na sile, przechodząc w ryk, mignęły sylwetki smukłych koni, z rozwianymi grzywami i ogonami,

---

<sup>1</sup>College (ang.) – określenie związane z różnymi formami wyższej edukacji w krajach anglosaskich, szczególnie w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, a także w innych krajach zachodnioeuropejskich.

a na nich jeźdźcy w sombreroach, wszystko tak egzotyczne i niesamowite dla niej. Przypomniała sobie, co powiedział konduktor i próbowała stłumić niepokój. Chmury kurzu przesłaniały słabe światła w oknach. Nagle z mroku wyłoniły się dwie postacie, jedna wysoka, a druga drobna. To kowboj wracał z bagażowym.

Rozległy się ciężkie kroki, a za nimi szuranie. Drzwi stanęły otworem. Kowboj wszedł, ciągnąc za sobą rozczochraną postać *padre*<sup>1</sup>, którego płaszcz był w wielkim nieładzie, najprawdopodobniej przez mało uprzejmy uścisk porywacza. *Padre* był straszliwie przerażony.

Madeline Hammond spojrzała w osłupieniu na małego człowieka, tak bladego i trzęsącego się, że chciała zaprotestować, ale nie była w stanie. W pijanego kowboja jakby diabeł wstąpił. Wyciągnął długie ramię, chwycił Madeline i pchnął z powrotem na ławkę.

– Zostań tu! – rozkazał.

Jego głos, choć ani brutalny, ani szorstki, ani okrutny, miał na nią niewytłumaczalny wpływ. Poczula się bezsilna, nie mogła się poruszyć. Żaden mężczyzna nigdy wcześniej nie zwracał się do niej takim tonem. To kobieta w niej podporządkowała się poleceniu – nie dumna Madeline Hammond.

*Padre* uniósł do góry splecione dłonie, jakby błagając o życie. Zaczął szybko mówić coś po hiszpańsku. Madeline nie rozumiała tego języka. Kowboj wyciągnął wielki pistolet i zaczął wymachiwać nim księdzu przed twarzą. Nagle opuścił go, najwyraźniej z zamiarem wycelowania w stopy księdza. Nastąpił czerwony błysk, a potem rozległ się grzmot wystrzału, który ogłuszył i oszołomił Madeline. Pomieszczenie wypełnił dym i zapach prochu.

Madeline nie zemdląca, ani nawet nie zamknęła oczu, ale czuła się tak, jakby znajdowała się w uścisku lodowatego imadła. Gdy była w stanie już coś zobaczyć przez dymną zasłonę, poczuła niezmierną ulgę, że kowboj nie postrzelił *padre*. Wciąż jednak wymachiwał bronią, a teraz jeszcze wyglądało na to, że włókł swą ofiarę w jej stronę. Co ten pijany głupiec zamierzał? To musiała być jakaś kowbojska

---

<sup>1</sup> *Padre* (hiszp.) – ojciec, duchowny, kapłan.



Kowboj wszedł, ciągnąc za sobą rozczochraną postać *padre*, którego płaszcz był w wielkim nieładzie upadał.





sztuczka. Przez głowę przemknęło jej nagłe, mgliste wspomnienie pierwszych listów Alfreda, opisujących brawurowe zabawy kowbojów. Wtem przed oczami stanęła jej jak żywa scena z filmu, który kiedyś oglądała – kowboje płatający potwornego figla samotnej nauczycielce. Jak tylko o tym pomyślała, była pewna, że to jej brat robi jej małe wprowadzenie do rozrywek i atrakcji Dzikiego Zachodu. Ledwo mogła w to uwierzyć, a jednak musiała być to prawda. Dawne umiłowanie Alfreda do droczenia się z nią urosło do rozmiarów takiego skandalu. Pewnie stał teraz tuż za drzwiami lub pod oknem i śmiał się z jej zażenowania.

Gniew wziął górę nad paniką. Wyprostowała się z opanowaniem, jakim świadomość tej niespodzianki ją napełniła, i ruszyła do drzwi, ale kowboj zagroził jej drogę i chwycił za ramiona. Wtedy Madeline zrozumiała, że jej brat nie może wiedzieć nic na temat takiej niegodziwości. To nie był żaden żart. To coś się działo naprawdę, było realne, groziło czymś, czego nie знаła. Próbowwała się wyrwać, czując gniew, będąc przytrzymywana przez tego pijanego chama. Gracja, godność, kultura – wszystkie te nabyte cechy charakteru – umknęły przed instynktem walki. Była silna. Walczyła. Zmagала się rozpaczliwie, ale pchnął ją do tyłu żelaznymi rękoma. Nie miała pojęcia, że mężczyzna może być tak silny. Jednak ta lodowato uśmiechnięta twarz i hipnotycznie dziwaczne zachowanie, bardziej niż jego siła, osłabiły Madeline do tego stopnia, że drżąc, opadła na ławkę.

– Czego pan chce? – zapytała łapiąc z trudem oddech.

– Kochanie, połuzuj troszkę lejce – odpowiedział wesoło.

Madeline miała wrażenie, że śni. Nie była w stanie trzeźwo myśleć. Wszystko działo się zbyt szybko, zbyt okropnie. Nie tylko patrzyła na tego mężczyznę, ale czuła jego potężną obecność. Trzęsący się *padre*, opary błękitnego dymu, zapach prochu – to wszystko było prawdziwe.

Nagle tuż przed jej oczami eksplodował kolejny oślepiający czerwony błysk, a przy jej uchu huknął następny wystrzał. Nie będąc w stanie ustać na nogach, Madeline osunęła się na ławce. Jej spowolnione zmysły jasno odmówiły rejestrowania tego, co wydarzyło się

w ciągu następnych kilku chwil; jednak za moment, gdy jej umysł trochę się uspokoił, usłyszała, choć jakby przez mgłę, jak *padre* wypowiada pospiesznie jakieś dziwne słowa. Zamilkł, a potem rozległ się głos kowboja.

– Niech pani powie: *Si-Si*<sup>1</sup>. Proszę mówić – szybko! Proszę mówić – *Si*!

Uległa czystszej sugestii, przemożnej sile nie do odparcia w chwili, gdy jej wolę ścisnęła jak imadło panika, i wypowiedziała to słowo.

– A teraz, szanowna pani, żebyśmy mogli zakończyć to jak należy, poproszę o imię.

Wciąż mechanicznie wykonując polecenia, powiedziała mu.

Gapił się przez moment, jakby kojarzyło mu się z czymś w jego nieco zamroczonym umyśle. Odchylił się chwiejnie do tyłu. Madeline usłyszała, jak wypuścił głośno powietrze, sapnął potężnie, nic nietypowego dla pijanych mężczyzn.

– Jak się pani nazywa? – ponowił pytanie.

– Madeline Hammond. Jestem siostrą Alfreda Hammonda.

Podniósł rękę i przetarł coś wyimaginowanego przed oczami. Następnie pochylił się nad nią, a ta sama ręka, teraz nieco drżąca, sięgnęła po jej woalkę. Zanim jednak zdążył jej dotknąć, odgarnęła ją do tyłu, ukazując twarz.

– Czy to naprawdę... Wasza Wysokość<sup>2</sup> Hammond?

Jakże było to dziwne, dziwniejsze od czegokolwiek, co kiedykolwiek jej się przydarzyło – usłyszeć to przezwisko z ust tego kowboja! Nazywano ją tak, ale jedynie przez jej najbliższych i najdroższych. Teraz ożywiło to jej przytępione zmysły. Z dużym wysiłkiem odzyskała nad sobą kontrolę.

– To naprawdę Wasza Wysokość Hammond – powtórzył; tym razem raczej stwierdził ze zdziwieniem, niż zapytał.

Madeline wstała i spojrzał na niego.

– Tak, to ja.

Wsadził pistolet z powrotem do kabury<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> *Si* (hiszp.) – tak.

<sup>2</sup> *Wasza Wysokość* – w oryginale: Your Majesty.

<sup>3</sup> *Kabura* – skórzany futerał na pistolet lub rewolwer.

– No nic, myślę, że w tym przypadku nie będziemy dalej tego kontynuować.

– Czego, proszę pana? I dlaczego zmusił mnie pan do powiedzenia *Si* do tego księdza?

– Myślę, że tak właśnie chciałem dać mu do zrozumienia, że chce pani za mnie wyjść.

– Och!... Ty... ty!... – Zabrakło jej słów.

Zdawało się, że znowu pobudziło to kowboja do działania. Złapał *padre* i powłókł go w kierunku drzwi, przeklinając i grożąc, niewątpliwie nakazując mu milczenie. Potem wypchnął go za próg i stał tam, ciężko oddychając, jakby zmagając się z samym sobą.

– Proszę tu zaczekać... zaczekać chwilę, panno... panno Hammond – powiedział ochryplym głosem. – Mogłaby pani znaleźć się w gorszym towarzystwie od mojego, choć zapewne jest pani innego zdania. Jestem dość pijany, ale porządny ze mnie człowiek. Proszę zaczekać... chwileczkę.

Stała drżąc i płonąć gniewem. Patrzyła, jak ten nieokrzesianiec zmagają się ze swoim stanem upojenia. Zachowywał się jak człowiek, który nagle otrzeźwiał i walczył teraz sam ze sobą, by ten stan utrzymać. Madeline zobaczyła, jak chłodna bryza rozwiewa nad czołem jego ciemne, spocone włosy. Nad nim, na ciemnoniebieskim niebie, wznosiły się jasne gwiazdy, które wydawały się równie nierzeczywiste, jak i wszystko tej dziwacznej nocy. Były zimne, jasne, odległe; patrząc na nie czuła, jak jej gniew słabnie, zanika i opuszcza ją, pozostawiając ją spokojną.

Kowboj odwrócił się i zaczął mówić.

– Widzi pani, kompletnie się spiłem – rzekł z wysiłkiem. – Była *fiesta*<sup>1</sup> i wesele. Kiedy jestem pijany, robię głupoty. Założyłem się nie mądrze, że ożenię się z pierwszą dziewczyną, która pojawi się w mieście... Gdyby nie miała pani tej woalki... Chłopcy mnie prowokowali... a Ed Linton się żenił... i wszyscy zawsze chcą się o coś zakładać... Musiałem być kompletnie zalany.

Po tym jednym spojrzeniu na jej twarz, kiedy po raz pierwszy podniosła woalkę, nie spojrzął na nią więcej. Zuchwałość zmieniła się

---

<sup>1</sup> *Fiesta* (hiszp.) – święto, przyjęcie, impreza.

w coś, co wyglądało na nadmierną wylewność, albo było cklwym stanem charakterystycznym dla pijanych mężczyzn. Nie mógł ustać spokojnie; na czoło wystąpiły mu krople potu; przecierał twarz szalikiem i oddychał, jak człowiek po wielkim wysiłku.

– Widzi pani... byłem kompletnie... – zaczął ponownie.

– Wyjaśnienia nie są konieczne – przerwała mu. – Jestem bardzo zmęczona, wyczerpana. Jest późno. Czy ma pan najmniejsze pojęcie, co to znaczy być dżentelmenem?

Jego śniada twarz stała się purpurowa.

– Czy mój brat jest teraz w mieście? – ciągnęła.

– Nie. Jest na swoim ranczo.

– Ale przecież wysłałam mu depeszę.

– Prawdopodobnie wiadomość czeka w jego skrytce pocztowej.

Jutro będzie w mieście. Wysłała bydło do Stillwella.

– Tymczasem muszę udać się hotelu. Czy może pan...?

Jeśli nawet usłyszał jej ostatnie słowa, to nie dał tego po sobie poznać. Jego uwagę przyciągnął hałas dochodzący z zewnątrz. Madeline nasłuchiwała. Przez otwarte drzwi napłynęły ciche głosy mężczyzn i jeszcze delikatniejsze, śpiewne, kobiety. Rozmawiali po hiszpańsku. Stawały się coraz głośniejsze. Najwyraźniej rozmówcy zbliżali się do stacji. Świadczyły o tym odgłosy chrzęszczących na żwirze kroków, a przyspieszony chód i gniewne tony zwiastowały kłótnię. Kobięcy głos, impulsywny, łamiący się, coraz wyższy, na próżno do czegoś przekonywał.

Zachowanie kowboja przestraszyło Madeline; spodziewała się czegoś strasznego. Nie myliła się. Z zewnątrz dobiegły odgłosy szamotani-ny, stłumiony strzał, jęk, łoskot padającego ciała, cichy krzyk kobiety i odgłosy szybko oddalających się kroków.

Madeline Hammond osunęła się na ławkę, zrobiło jej się zimno i słabo, a w jej uszach przez chwilę pulsował tupot stóp tancerzy i rytm tandetnej muzyki. Wtem w otwartych drzwiach pojawiła się zrozpaczona twarz dziewczyny, rozjaśniona ciemnymi oczami i otoczona czarnymi włosami. Dziewczyna chwyciła drzwi smukłą, śniadą dłonią i trzymała je, jakby chciała się podtrzymać. Długi, czarny szal akcentował jeszcze jej krzykliwy ubiór.

– *Señor*<sup>1</sup> Gene! – zawołała; rozpoznała go, i aż tchu jej zabrakło z radości, przerażenie trochę z niej opadło.

– Bonita! – Kowboj skoczył do niej. – Dziewczyno! Nic ci nie jest?

– *No, señor.*

Chwycił ją.

– Słyszałem, że ktoś został postrzelony. Czy to Danny?

– *No, señor.*

– Czy to Danny strzelał? Mów, dziewczyno!

– *No, señor.*

– To bardzo się cieszę. Myślałem, że Danny był w to zamieszany. Miał pieniądze Stillwella dla chłopaków, bałem się... Powiedz, Bonita, ty masz jakieś kłopoty? Kto tam był z tobą? Co robiliście?

– *Señor Gene* – to *vaqueros*<sup>2</sup> Don Carlosa, klócić się o mnie. Ja tylko trochę tańczyć, uśmiechać się trochę, a oni już się klócić. Błagam ich, żeby być dobrzy, uważać na szeryfa Hawe'a... teraz szeryf Hawe wsadzić mnie do więzienia. Tak się boję; on próbować kochać trochę Bonita kiedyś, a teraz nienawidzić mnie, jak nienawidzić *señor* Gene.

– Pat Hawe nie wsadzi cię do więzienia. Weź mojego konia i jedź do Peloncillo. Bonita, obiecaj mi, że będziesz trzymać się z dala od El Cajon.

– *Si, señor.*

Wyprowadził ją na zewnątrz. Madeline usłyszała, jak koń parsknął i żuł swe wędzidło<sup>3</sup>. Kowboj mówił cicho; zrozumiała tylko kilka słów – „strzemiona<sup>4</sup>... czekaj... za miastem... góra... szlak... jedź teraz!”.

Zapada chwila ciszy, którą przerwał galop końskich kopyt i chrzęst żwiru. Madeline zobaczyła jak wielki, ciemny koń pognał na równiny. Zauważyła powiewający na wietrze szal, rozwiane włosy i małą postać w siodle. Czarny kształt konia odznaczał się na tle niewyraźnych świateł. W tej ucieczce było coś dzikiego i wspaniałego.

Wkrótce kowboj znów pojawił się w drzwiach.

---

<sup>1</sup> *Señor* (hiszp.) – pan.

<sup>2</sup> *Vaqueros* (hiszp.) – kowboje, pasterze bydła.

<sup>3</sup> *Wędzidło* – część uprzęży konia.

<sup>4</sup> *Strzemiona* – metalowy element siodła do jazdy konnej, stanowiący oparcie stopy jeźdźca, zawieszony na rzemiennym pasie (puślisku) na terlicy siodła, symetrycznie po jego obu stronach.

– Panno Hammond, myślę, że powinniśmy się stąd wynosić. Wydarzyło się coś złego. I zaraz nadjedzie pociąg.

Pospiesznie wyszła na świeże powietrze, nie oglądając się za siebie ani na boki. Jej przewodnik szedł szybkim krokiem. Musiała prawie biec, by za nim nadążyć. Przepełniały ją sprzeczne emocje. Dziwnie się czuła z tym maszerującym u jej boku olbrzymem, milczącym, z wyjątkiem jego brzęczących ostróg. Dziwnie działał na nią chłodny, przyjemny wietrzyk i jasne gwiazdy. Czy to tylko jakaś zaburzona wyobraźnia, czy te cudowne gwiazdy naprawdę otwierały się i zamykały? Miała dziwne, odłączone od ciała wrażenie, że gdzieś w dawnych czasach, w innym życiu, widziała już te gwiazdy. Noc wydawała się ciemna, ale gwiazdy świeciły bladym światłem – światłem gwiazd – i wyobraziła sobie, że zawsze będą ją już prześladować.

Nagle, gdy zdała sobie sprawę z tego, że została wyprowadzona poza granicę miasta, spytała:

- Dokąd mnie pan prowadzi?
- Do Florence Kingsley – odparł
- A kto to taki?
- To dobra przyjaciółka pani brata.

Jeszcze przez chwilę Madeline dotrzymywała kroku kowbojowi, po czym zatrzymała się. Musiała złapać oddech, ponadto znów powrócił strach. Nagle zrozumiała, jak słabo była przygotowana na coś takiego. Kowboj zauważył, że ją zgubił, i cofnął się do tyłu o kilka kroków. Stał u jej boku, czekał, wciąż milcząc.

– Jest tak ciemno, tak pusto – zawahała się. – Skąd mam wiedzieć... jaką mogę mieć pewność, że nie spotka mnie nic złego, jeśli pójdę dalej?

– Żadnej, panno Hammond, z wyjątkiem tej, że widziałem pani twarz.



## Rozdział II

### Dochowana tajemnica

**D**zięki tej osobliwej odpowiedzi Madeline odnalazła w sobie dość siły, aby pójść z kowbojem dalej, ale na tę chwilę naprawdę nie zastanawiała się nad tym, co powiedział. Jakakolwiek odpowiedź byłaby pomocna, gdyby tylko była życzliwa. Jego milczenie zwiększało tylko jej zdenerwowanie, i wreszcie musiała wypowiedzieć swe obawy. Gdyby nawet nic jej nie odpowiedział i tak poszłaby z nim dalej. Wzdrygnęła się na myśl o powrocie na stację, na której, jak sądziła, kogoś zamordowano. Ciężko byłoby jej nawet powrócić na ulicę z przyćmionymi światłami; nie chciała wędrować sama w ciemnościach.

Szła dalej w wietrzny mrok, czując ulgę, że kowboj odpowiedział to, co odpowiedział, rozmyślając nad tym, że musiałby to jeszcze udowodnić, i zaczynając rozumieć, co miał na myśli. Poczula ukłucie odradzającej się dumy, poczuła, że powinna pogardzać nawet myślą o człowieku takim jak on. Madeline Hammond odkryła, że myśl ta pojawiła się odruchowo, mimowolnie, że pojawiły się uczucia, których nigdy wcześniej, przed tą nocą, nie odczuwała.

Po chwili przewodnik Madeline zatrzymał się i zapukał do drzwi domu o niskim dachu.

– Halo, kto tam? – zapytał głęboki głos.

– Gene Stewart – odpowiedział kowboj. – Zawołaj Florence, szybko!

Potem dało się słyszeć kroki, pukanie do drzwi i głosy. Madeline usłyszała kobiecy głos, wołający:

– Gene! Tutaj, kiedy w mieście są tańce! Coś musiało się wydarzyć.

W oknie rozblęsyło światło. Po chwili rozległy się ciche kroki, drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich kobieta z lampą.

– Gene! Czy z Alem wszystko...

– Alowi nic nie jest – przerwał jej kowboj.



Madeline odczuła dwie rzeczy: pierwszą było zdziwienie na dźwięk obawy i miłości w głosie kobiety, a drugą niewysłowiona ulga, że jest bezpieczna w domu przyjaciółki jej brata.

– To siostra Ala, przyjechała nocnym pociągiem – powiedział kowboj. – Byłem akurat na stacji i przyprowadziłem ją do ciebie.

Madeline wyszła z cienia.

– Nie, to nie może być Wasza Wysokość Hammond! – zawołała Florence Kingsley.

Lampa omal nie wypadła jej z rąk, patrzyła i patrzyła, nie wierząc własnym oczom.

– To naprawdę ja – odpowiedziała Madeline. – Mój pociąg się spóźnił, i z jakiegoś powodu Alfred po mnie nie wyszedł. Pan... pan Stewart uznał za stosowne przyprowadzić mnie tutaj, zamiast zabrać do hotelu.

– Och, tak się cieszę, że panią poznałam – powiedziała ciepło Florence. – Proszę wejść. Gdzie moje maniery, ale jestem tak zaskoczona... Al nic nie wspomniał o pani przybyciu.

– Z pewnością nie dostał moich depeszy – rzekła Madeline, wchodząc do środka.

Kowboj, który wszedł tuż za nią, niosąc jej bagaż, musiał się schylić, by zmieścić się w drzwiach, a gdy był już w środku, wydawało się, że wypełnił sobą cały pokój.

Florence postawiła lampę na stole. Madeline zobaczyła młodą kobietę o uśmiechniętej, przyjaznej twarzy i burzy jasnych włosów opadających na jej szlafrok.

– Ależ Al się ucieszył! – zawołała Florence. – Och, jest pani błada jak prześcieradło. Musi pani być zmęczona. Na pewno naczekała się pani na tej stacji! Słyszałam, jak pociąg przyjechał kilka godzin temu, kiedy kładłam się spać. Stacja jest opuszczona w nocy. Gdybym tylko wiedziała o pani przybyciu! Ależ jest pani niesamowicie błada. Dobrze się pani czuje?

– Tak, jestem tylko bardzo zmęczona. Podróżowanie koleją jest cięższe, niż sobie wyobrażałam. Po dotarciu na stację rzeczywiście długo czekałam, ale nie mogę powiedzieć, że czułam się tam samotna.

Florence Kingsley przyjrzała się badawczo Madeline, a potem rzuciła długie, znaczące spojrzenie milczącemu Stewartowi. Następnie cicho i powoli zamknęła drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

– Co się stało, panno Hammond? – zapytała, zniżając głos.

– Nie chcę wspominać tego, co tam zaszło – odpowiedziała Madeline – ale powiem Alfredowi, że wolałabym raczej spotkać nieprzyjaźnie nastawionego Apacza<sup>1</sup> niż kowboja.

– Proszę nie mówić tego Alowi! – zawołała Florence, po czym chwyciła Stewarta i przyciągnęła bliżej światła. – Gene, jesteś pijany!

– Byłem kompletnie pijany – odpowiedział, zwieszając głowę.

– Coś ty wyczyniał?

– Widzisz, Flo, ja tylko...

– Nie chcę wiedzieć. Powiem ci jedno, Gene, czy ty się kiedyś opamiętasz? Czy przestaniesz w końcu pić? Stracisz przez to wszystkich swoich przyjaciół. Na Stillwella zawsze możesz liczyć. Al jest twoim najlepszym przyjacielem. Molly i ja błagamy cię, jak umiemy, a ty sobie idziesz i wyczyniasz – Bóg jeden wie co!

– Po co kobiety noszą te woale? – warknął. – Rozpoznałbym ją, gdyby nie ta zasłona.

– I nie obraziłbyś jej, ale następną dziewczynę, która by się pojawiła po niej, już tak. Gene, jesteś beznadziejny. A teraz wynoś się stąd i więcej nie wracaj.

– Flo! – błagał.

– Nie żartuję.

– W takim razie poniosę zasłużoną karę i wrócę jutro – odrzekł.

– Ani mi się waż! – krzyknęła.

Stewart wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Panno Hammond, nawet nie wyobraża pani sobie, jak mi przykro – powiedziała Florence. – Co też musi pani sobie o nas myśleć! Jakież to niefortunne, że spotkało to panią na samym wstępie. Może teraz nie będzie pani chciała tu zostać. Och, poznałam więcej niż

---

<sup>1</sup> *Apacze* – zespół grup etnicznych Indian Ameryki Północnej, spokrewnionych prawdopodobnie z Atabaskami, zamieszkujący głównie stan Nowy Meksyk. Nazwa Apacze obejmuje co najmniej osiem szczepów, spośród których najbardziej znanymi były Kiowa, Mescalero, Jicarilla i Chiricahua.

jedną dziewczynę ze Wschodu, która wróciła do domu nie poznając, jacy naprawdę jesteście. Panno Hammond, Gene Stewart, to diabeł wcielony kiedy popije. Jednocześnie wiem, że cokolwiek zrobił, nie chciał pani obrazić. Chodźmy, proszę już o tym dziś nie myśleć – chwyciła lampę i zaprowadziła Madeline do małego pokoju. – Oto Zachód – ciągnęła, uśmiechając się, mając na myśli te kilka mebli. – Ale może pani tu odpocząć. Jest tu pani całkowicie bezpieczna. Czy może się rozebrać? Czy jest coś w czym mogę jeszcze pomóc?

– Jest pani bardzo miła, ale poradzę sobie – odpowiedziała Madeline.

– A zatem życzę dobrej nocy. Im szybciej zostawię panią samą, tym szybciej uda się pani na spoczynek. Proszę zapomnieć o tym, co się stało, a myśleć raczej o tym, jaką wspaniałą niespodziankę zrobi pani jutro swemu bratu.

Po tych słowach wyszła z pokoju i zamknęła za sobą cicho drzwi.

Kiedy Madeline kładła swój zegarek na komodzie, zauważyła, że minęła druga w nocy. Wydawało się, że od momentu, gdy wysiadła z pociągu, minęła wieczność. Kiedy zgasiła lampę i wślizgnęła się ocieżale do łóżka, zrozumiała, co to znaczy być ledwie żywym ze zmęczenia. Nie miała nawet siły ruszyć palcem, ale jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

Z początku nie miała nad tym żadnej kontroli. W jej głowie kłębiło się tysiące myśli. Przychodziły i odchodziły, i znów powracały bez większego logicznego związku. Był tam huk pociągu; uczucie zagubienia; odgłos grzmotu końskich kopyt; twarz jej brata, jaką zapamiętała pięć lat temu; długa, przyćmiona linia świateł; brzęk srebrnych ostróg; noc, wiatr, ciemność, gwiazdy. Potem ponura stacja, podejrzany, okutany w *sarape* Meksykanin, puste pomieszczenie, niewyraźne światła po drugiej stronie placu, tupot stóp tancerzy, prymitywne śmiechy i fałszujące nuty muzyki, potem otworzyły się na oścież drzwi i wszedł kowboj. Nie pamiętała, jak wyglądał, ani co zrobił. Chwilę później widziała, jak uśmiecha się chłodno, diabelsko; wydawał się jej agresywny; jego wzrost, postura, jego ubranie, fizyczny wygląd był mglisty jak obraz we śnie. W tym całym ciągu myśli mignęła

blada jak prześcieradło twarz *padre*, a potem Madeline popadła w ten sam otępiały, bliżej nieokreślony stan umysłu, który nastąpił po ostatnim, szarpiącym nerwy, wystrzale z pistoletu. Gdy to minęło, pojawiły się wyraźne, żywe wspomnienia całej reszty, która miała tam miejsce – dziwne, wściekle głosy mężczyzn, stłumiony wystrzał, jęk śmiertelnego bólu, przejmujący krzyk kobiety. Madeline ujrzała wielkie, smutne, przerażone oczy dziewczyny, i dziką ucieczkę wielkiego konia w czarną noc, ciemną, maszerującą postać milczącego kowboja, i białe gwiazdy, które wydawały się spoglądać na nich w dół.

Fale wspomnień raz po raz zalewały Madeline. Stopniowo traciły swą moc i blakły. Opuściły ją wszelkie zmartwienia. Poczowała, że odpływa. Jakże ciemny był ten pokój – równie ciemny z otwartymi oczami, jak i z zamkniętymi! Cisza okrywała ją jak peleryna. Nie było żadnego dźwięku. Znajdowała się w zupełnie innym świecie niż ten, który znała. Pomyślała o jasnowłosej Florence i Alfredzie. Z tą myślą zasnęła.

Kiedy się obudziła, pokój zalewało słoneczne światło. Powiew chłodnej bryzy docierający aż do jej łóżka sprawił, że schowała dłonie pod koc. Leniwie i sennie przyglądała się glinianym ścianom tego małego pokoju, kiedy nagle przypomniała sobie, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Świadomość tego znalazła swój upust w uczuciu obrzydzenia, które ją ogarnęło. Zamknęła nawet oczy, próbując wymazać z pamięci to wspomnienie. Czowała się zbrukana.

W tym momencie Madeline Hammond ponownie zdała sobie sprawę z faktu, który odkryła już poprzedniej nocy – że istnieją emocje, które do tej pory były jej obce. Nie próbowała ich analizować, ale wyćwiczyła swą samokontrolę do tego stopnia, że zanim się ubrała, była już na powrót sobą. Ledwie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy uznała za konieczne kontrolowanie swych emocji. W jej życiu nie było żadnych problemów, ekscytacji, przykrości. Wszystko zostało dla niej przygotowane – spokojne, luksusowe, błyskotliwe, urozmaicone, ale zawsze monotonne.

Nie zdziwiła się, gdy zobaczyła, jak późno było, i już miała zamiar iść dowiedzieć się czegoś o swoim bracie, gdy usłyszała czyjś głos.

Rozpoznała głos panny Kingsley zwracający się do kogoś na zewnątrz. W głosie była ostrość, której wcześniej nie zauważyła.

– I co, wróciłeś? Cóż, nie wyglądasz na zbyt zadowolonego z siebie tego ranka. Gene Stewart, tchórzliwy kojot<sup>1</sup> z ciebie.

– Może i jestem kojotem, Flo, ale nie mam zamiaru uciekać – odparł.

– Po coś tu przyszedł?

– Powiedziałem, że przyjdę po zasłużoną karę.

– To znaczy, że nie będziesz uciekał przed Alem Hammondem? Gene, ale ty masz tępy łeb. Al nigdy nie dowie się, co zrobiłeś jego siostrze, chyba że sam mu o tym powiesz. A jeśli to zrobisz, on cię zastrzeli. Ona cię nie wyda. Jest dobrze urodzona. Była tak blada wczorajszej nocy, że myślałam, że zemdleje, ale nawet nie mrugnęła okiem. Jestem kobietą, Gene Stewart, i choć nie mogę czuć tego, co czuje teraz panna Hammond, to wiem, że musiała mocno to przeżyć. Jest jedną z najpiękniejszych, mających największe wzięcie i najbardziej elitarnych kobiet w Nowym Jorku. Ugania się za nią tłum milionerów, arystokratów i książąt. Jakie byłoby to straszne dla takiej kobiety, gdyby pocałował ją pijany poganiacz krów! To...

– Flo, nigdy jej w ten sposób nie obraziłem – wybuchnął Stewart.

– A zatem, coś gorszego? – spytała ostro.

– Założyłem się, że poślubię pierwszą dziewczynę, która przyjedzie do miasta. Byłem na czatach i kompletnie pijany. Kiedy się pojawiła... cóż, złapałem *padre* Marcosa i próbowałem ją zmusić, żeby za mnie wyszła.

– O Boże! – westchnęła Florence. – Jest gorzej, niż myślałam... Gene, Al cię zabije.

– To by nawet było dobre rozwiązanie – odparł ponuro kowboj.

– Gene Stewart, z pewnością by tak było, chyba że otworzysz nowy rozdział w swoim życiu – stwierdziła Florence. – Nie zachowuj

---

<sup>1</sup> *Kojot* (kojot preriowy, kujot, wilk preriowy Ameryki Północnej, *Canis latrans*) – gatunek drapieżnego ssaka z rodziny psowatych (*Canidae*) o wyglądzie pośrednim między małym wilkiem i szakalem; ma bardziej krępa budowę, krótszą szyję i ostrzejszy pysk niż wilk europejski; zamieszkuje obszary od Alaski do Meksyku.

się jak głupiec – w tym momencie jej głos zabrzmiał poważnie i błagalnie. – Wyjedź, Gene. Dołącz do rebeliantów za granicą – zawsze się tym odgrażasz. W każdym razie nie zostawaj tu i staraj się za wszelką cenę nie wkurzać Ala. Zabiłby cię tak samo, jak ty zabiłbyś mężczynę, który obraziłby twoją siostrę. Nie rób Alowi kłopotu. To by ją tylko zasmuciło, Gene.

Madeline usłyszała subtelną uwagę Florence. Była zdenerwowana, bo nie mogła uniknąć przysłuchiwania się czemuś, co nie było przeznaczone dla jej uszu. Starła się nie słuchać, ale to się jej nie udawało.

– Flo, nie patrzysz na to jak mężczyzna – odpowiedział cicho. – Zostanę i poniosę karę.

– Gene, mam ochotę naubliżyć cię i każdemu innemu zakutemu kowbojskiemu łbowi. Posłuchaj, mój szwagier, Jack, podsłuchiwał coś niecoś z naszej wczorajszej nocnej rozmowy. On cię nie lubi. Boję się, że powie Alowi. Na litość boską, człowieku, jedź do miasta, ucisz go, i sam milcz.

Nagle Madeline usłyszała, jak Florence wchodzi do domu. Po chwili zapukała do drzwi i zawołała cicho:

– Panno Hammond, wstała już pani?

– Wstałam i jestem ubrana, panno Kingsley. Proszę wejść.

– Och! Wypoczęła pani. Wygląda pani ... tak inaczej. Tak się cieszę. Proszę za mną. Zjemy śniadanie, a potem może pani w każdej chwili spodziewać się spotkania z bratem.

– Proszę zaczekać. Słyszałam, jak rozmawiała pani z panem Stewartem. Niechąco podsłuchiwałam, ale cieszę się, że tak się stało. Muszę się z nim zobaczyć. Czy może go pani poprosić, by przyszedł na chwilę do salonu?

– Tak – odpowiedziała szybko Florence, a odwracając się do drzwi, rzuciła Madeline znaczące spojrzenie. – Proszę nakazać mu milczenie!

Po chwili na zewnątrz rozległy się wolne, ociągające się kroki, potem nastąpiła przerwa i drzwi się otworzyły. Stał w nich w świetle słonecznym Stewart, bez kapelusza. Madeline przypomniała sobie z drżeniem, wysoką postać, haftowaną kamizelkę z kozłej skóry, czer-

woną chustkę, opaski na nadgarstki z jasnej skóry, szeroki pas z srebrną klamrą i czapsy<sup>1</sup>. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, ale kiedy ujrzała jego twarz, nie poznała jej. Obecność mężczyzny wzbudziła w niej sprzeciw, a mimo to jakaś nieznaną część jej odczuła dreszcz na widok tego przystojnego barbarzyńcy o śniadej twarzy.

– Panie Stewart, może pan wejdzie? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

– Raczej nie – odpowiedział.

W jego tonie pobrzmiwała rezygnacja. Wiedział, że nie był odpowiednią osobą do przebywania w jej towarzystwie, i nie dbał o to, a może przejmował się tym za bardzo.

Madeline podeszła do drzwi. Twarz mężczyzny była surowa, ale też i smutna. To ją wzruszyło.

– Nie powiem mojemu bratu o pana... pana niegrzecznym zachowaniu wobec mnie – zaczęła. Nie była w stanie opanować chłodu w swym głosie, przemawiać z czymś innym niż duma i rezerwa, tak charakterystycznymi dla jej klasy. Niemniej jednak, pomimo jej niechęci, gdy to mówiła, wydawało się, że dobroć i litość pojawiły się mimowolnie. – Postanowiłam zapomnieć o tym, co pan uczynił, ponieważ nie był pan całkiem świadom tego, co robił, i dlatego, że pomiędzy Alfredem a panem nie może być żadnych nieporozumień. Czy mogę liczyć na pana dyskrecję i skłonienie księdza do tego samego? I wie pan, że wczoraj zginął lub został ranny człowiek. Chcę zapomnieć o tej okropnej sprawie. Nie chcę wiedzieć, że słyszałam...

– *Greaser*<sup>2</sup> nie umarł – przerwał jej Stewart.

– Ach! Czyli ostatecznie nie skończyło się to źle. Cieszę się przez wzgląd na pana przyjaciółkę – tę małą Meksykankę.

Purpurowy rumieniec wolno rozlał się po jego twarzy, widok jego zawstydzenia przyprawiał wręcz o ból. To utwierdziło Madeline w przekonaniu, że nawet, jeśli jest barbarzyńcą, to nie do końca takim złym. I zrobiło to tak wielką różnicę, że uśmiechnęła się do niego.

---

<sup>1</sup> *Czapsy* (ang. chaps) – skórzane spodnie bez siedziska, noszone przez kowboja na zwykłych spodniach w celu ochrony nóg.

<sup>2</sup> *Greaser* (ang.) – obraźliwe odniesienie do Amerykanina meksykańskiego pochodzenia.

– Oszczędzi mi pan dalszych zmartwień, proszę?

Jego ochrypla odpowiedź była nieskładna, ale wystarczyło spojrzeć na jego ekspresyjną twarz, aby dostrzec skruchę i wdzięczność.

Madeline wróciła do swego pokoju; chwilę później przysłała po nią Florence i natychmiast zasiadły do śniadania. W świetle poranka Madeline Hammond mogła na nowo przyjrzeć się przyjacielce jej brata. Poczowała szlachetną, szczerą, miłą naturę. Podobał jej się ten południowy akcent, to przeciąganie słów. Zastanawiała się, czy Florence Kingsley jest ładna czy urodziwa, czy wyjątkowa. Miała młodzieńczy blask i rumieniec, wyraźną opaleniznę, nabytą z przebywania dużo na świeżym powietrzu, twarz pozbawioną delikatnych i miękkich linii kobiet ze Wschodu. Jej oczy były jasnoszare jak kryształ, o opanowanym, prawie przeszywającym spojrzeniu, a włosy stanowiły piękną, jasną, falującą masę.

Siostra Florence była starszą z nich dwóch, korpulentną kobietą o twardych rysach i spokojnych oczach. Kobiety zapewniły swemu gościowi proste pożywienie i obsługę, ale nie przeproszały za to. W rzeczy samej, Madeline odebrała tę prostotę jako kojącą i odprężającą. Była przesycona szacunkiem, miała dość podziwu, była zmęczona uwielbieniem; i dobrze było oglądać, jak te zachodnie kobiety traktują ją tak samo, jak potraktowałyby każdego innego gościa. Były miłe, życzliwe, a to, co początkowo wydawało się brakiem ekspresji czy witalności, okazało się wkrótce wrodzoną powściągliwością kobiet, które nie prowadziły płytkiego, powierzchownego życia. Florence była bezceremonialna i szczerą, jej siostra ekscentryczna i mało mówna. Madeline pomyślała, że chciałyby mieć te kobiety przy sobie w czasie choroby lub trudności. Robiła sobie wyrzuty za swoją drobiazgowość i wybredność, nadmiernie krytyczne poczucie wyrafinowania, które nie mogło się powstrzymać od analizowania, czego brakowało tym kobietom.

– Jeździ pani konno? – zapytała Florence. – To pytanie zawsze zadaje mieszkaniiec Zachodu każdej osobie ze Wschodu. To znaczy mam na myśli, czy potrafi pani jeździć konno jak mężczyzna, czyli okrakiem? Och, w porządku. Wygląda pani na wystarczająco silną,



żeby utrzymać konia. Mamy tu kilka wspaniałych rumaków. Kiedy przybędzie Al, pojedziemy razem na rancho Billa Stillwella. Będziemy musieli jechać, czy chcemy tego, czy nie, bo gdy Bill się dowie, że pani tu jest, i tak po nas pośle. Pokocha pani starego Billa. Jego rancho jest w marnym stanie, ale pasma górskie i przejażdżki po górach są przepiękne. Będziemy polować i wspinać się, ale przede wszystkim – jeździć konno. Kocham konie, kocham czuć wiatr na twarzy i bezkresną dal wabiącą górami. Na łańcuchach górskich trzeba mieć najlepszego konia. A to oznacza konflikt pomiędzy Alem, Billem i innymi kowbojami. Mamy odmienne zdania na temat koni, ale grafitowy wierzchowca Gene’a Stewarta stanowi tu wyjątek.

– Czy pan Stewart jest właścicielem najlepszego konia w kraju? – spytała Madeline, wciąż odczuwając niewytłumaczalny dreszcz emocji na wspomnienie dzięki ucieczki wielkiego ciemnego wierzchowca Stewarta z jeźdźcem na grzbiecie.

– Tak, i to jest właściwie wszystko, co posiada – odpowiedziała Florence. – Gene nie umie trzymać nawet pejsza, ale z pewnością kocha tego konia i nazywa go...

W tym miejscu rozmowę przerwało gwałtowne pukanie do drzwi salonu. Siostra Florence poszła otworzyć. Wróciła po chwili i powiedziała:

– To Gene. Kręcił się na werandzie, i zapukał, by nam oznajmić, że nadjeżdża brat panny Hammond.

Florence pospieszyła do salonu. Drzwi były otwarte, a na stopniach werandy siedział Stewart. Od strony drogi dobiegał stukot końskich kopyt. Madeline spojrzała przez ramię Florence i ujrzała zbliżający się tuman kurzu, w którym udało jej się rozróżnić zarysy koni i jeźdźców. Ogarnęła ją fala ciepła, delikatne radosne mrowienie, uczucie, które przypomniało jej dziewczęcą miłość do brata. Jaki będzie wyglądał po tych wszystkich latach?

– Gene, czy Jack będzie zdolny trzymać język za zębami? – zapytała Florence, a Madeline znów rozpoznała ten sam ostry ton w głosie dziewczyny.

– Nie – odpowiedział Gene.

– Gene! Chyba nie pozwolisz, by doszło do walki? Z Alem można sobie dać radę, ale Jack cię nienawidzi i przyprowadzi ze sobą swoich przyjaciół.

– Nie będzie żadnej bójkii.

– Rusz głową – dodała jeszcze Florence, po czym odwróciła się i delikatnie wepchnęła Madeline z powrotem do salonu.

Uczucie miłego ciepła opuściło Madeline, a jego miejsce zajęły strach. Czyżby miała być świadkiem tego, jak jej brat używa siły i przemocy, które teraz kojarzyły jej się z kowbojami? Stukot kopyt ucichł przed drzwiami. Madeline wyjrzała i zobaczyła gromadę zakurzonych, smukłych, umięśnionych koni, grzebiących kopytami w żwirze i podrzucających kształtnymi łbami. Przebiegła wzrokiem po zwinnych jeźdźcach, próbując odszukać wzrokiem tego, który był jej bratem. Ale nie mogła go znaleźć. Dostrzegła jednak ten sam barbarzyński sposób ubierania się i surowy wygląd, który charakteryzował kowboja Stewarta. Wtem jeden z jeźdźców odrzucił cugle, zeskoczył z konia i wbiegł po schodach werandy. Florence powitała go w drzwiach.

– Witaj, Flo. Gdzie ona jest? – zawołał niecierpliwie, z przejęciem, po czym spojrzał jej przez ramię i dostrzegł Madeline. Prawie się na nią rzucił. Ledwie rozpoznała tę wysoką postać i opaloną twarz, tylko ciepłe ogniki w błękitnych oczach były znajome. On natomiast nie miał żadnych wątpliwości, że to jego siostra. Objął ją ramionami, następnie odsunął i przyjrzał jej się uważnie.

– Sostro – zaczął, ale Florence odwróciła się pospiesznie od drzwi i przerwała mu.

– Al, nie będziesz się tu chyba awanturował.

Utkwił w nią wzrok, gdy nagle wydawało się, że usłyszał hłaśliwe głosy dochodzące z ulicy. Wypuścił Madeline z objęć i rzekł:

– Dobry Boże! Zapomniałem, Flo. Jest mała sprawa do załatwienia. Zatrzymaj tu proszę moją siostrę i nie denerwuj się.

Wyszedł na werandę i krzyknął do swoich ludzi:

– Przymknij jadalnię, Jack! I ty też, Blaze! Nie chciałem, byście tu przyjeżdżali. Ale skoro już tu jesteście, to macie się zamknąć. To moja sprawa.

Następnie zwrócił się do siedzącego na płocie Stewarta.

– Witaj, Stewart! – rzekł.

Było to pozdrowienie, ale w jego głosie brzmiał ton, który zaniepokoił Madeline.

Stewart podniósł się ze spokojem i wolno podszedł do werandy.

– Witaj, Hammond! – powiedział przeciągle.

– Znowu się spiłeś ostatniej nocy?

– Jeśli chcesz wiedzieć, choć to nie twoja sprawa, tak, byłem kompletnie pijany – odrzekł Stewart.

Był to rodzaj mowy, która miała wyrażać opanowanie kowboja i jego kontrolę nad sytuacją, kiedy nie zadaje się pytań. Zapadła krótka cisza.

– Do cholery, Stewart! – powiedział po chwili jego rozmówca. – Sytuacja wygląda następująco: całe miasto aż huczy, że wczorajszej nocy spotkałeś na stacji moją siostrę i ją obraziłeś. Jack chce się z tobą policzyć i ci chłopcy też. Ale to moja sprawa. Ja ich tu nie sprowadziłem. Mogą usłyszeć, jak się tłumaczysz, albo... Gene, od jakiegoś czasu jesteś na złej drodze, pijesz i robisz inne rzeczy. Staczasz się. Jednak Bill myśli, i ja myślę, że wciąż jesteś człowiekiem. Nigdy nie słyszeliśmy, abys kłamał. Co masz na swoją obronę?

– Nikt tutaj nie insynuuje, że jestem kłamcą? – zapytał przeciągle Stewart.

– Nie.

– Miło mi to słyszeć. Widzisz, Al, byłem wczoraj zalany, ale nie na tyle, żeby nie pamiętać co robiłem. Powiedziałem to dziś rano szeryfowi, kiedy mnie o to pytał. To bardzo ładnie z mojej strony. Znalazłem pannę Hammond czekającą samotnie na stacji. Miała zakrytą twarz, ale oczywiście wiedziałem, że to dama. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że prawdopodobnie moja szarmanckość zszokowała nieco pannę Hammond, i...

W tym momencie Madeline, ulegając nieprzemysłanemu impulsowi, wymknęła się Florence i wyszła na werandę.

Sombrera powędrowały z głów, a smukłe konie poskoczyły.

– Panowie – przemówiła Madeline; brakowało jej tchu; policzki jej płonęły, a to wcale nie pomagało. – Nie znam się na zachodnich zwyczajach, ale myślę, że popełniacie błąd, który, oddając sprawiedliwość panu Stewartowi, chcę naprawić. Zachowywał się rzeczywiście nieco... nieco impulsywnie i dziwnie, kiedy podszedł do mnie poprzedniej nocy, ale teraz go rozumiem, mogę to przypisać jego szarmanckości. Był może nieco agresywny, gwałtowny, i... sentymentalny w swoim zamiśle chronienia mnie – nie było to do końca jasne, czy miał na myśli tę ochronę tylko wczorajszej nocy, czy na zawsze, ale z radością mogę powiedzieć, że z jego ust nie padło ani jedno nie-honorowe słowo. I przyprowadził mnie bezpiecznie do domu panny Kingsley.



## Rozdział III

### Brat i siostra

**M**adeline wróciła do małego salonu z bratem, którego z trudem rozpoznawała.

– Wasza Wysokość! – wykrzyknął. – I pomyśleć, że naprawdę tu jesteś!

Ciepło znów przepełniło jej serce, gdy usłyszała, jak to pieszczotliwe przezwisko, nadane jej przez brata, brzmiało w jego ustach.

– Alfred!

Jego słowa, przepełnione radością na jej widok, jego rozczarowanie, że nie było go na stacji, aby ją powitać, nie zapadły jej tak w pamięć jak sposób, w jaki ją przytulał. Trzymał ją bowiem w objęciach tak samo, jak owego dnia, kiedy opuszczał dom rodzinny. A ona tego nie zapomniwała. Jednakże teraz był wyższy, postawniejszy, taki przykurzony, dziwny, inny i potężniejszy, że z trudem mogła myśleć o nim jak o tym samym mężczyźnie. Przyszła jej nawet do głowy śmieszna myśl, że następny kowboj ją zastrasza, ale tym razem jest to jej brat.

– Kochana dziewczyno – powiedział spokojnie, wypuszczając ją z objęć. – W ogóle się nie zmieniłaś, z wyjątkiem tego, że jeszcze wypiękniałaś. Jesteś już kobietą i przezwisko, które ci nadałem, w pełni do ciebie pasuje. Boże! Jakże twój widok przypomina mi dom! Wydaje się, że minęło już ze sto lat odkąd wyjechałem z domu. Tęskniłem za tobą najbardziej z całej rodziny.

Z każdym jego słowem stawał się jej coraz bliższy. Była tak zdumiona jego przemianą, że nie mogła uwierzyć własnym oczom. Miała przed sobą opalonego mężczyznę, o mocnej szczęce i sokolim spojrzeniu, silnego, rosnącego, i podobnie jak kowboje, ubranego w pas i wysokie buty z ostrogami. W jego twarzy było coś twardego, a jego głos brzmiał metalicznie. Wydawało się, że tylko w tych momentach, kiedy surowe rysy łagodniały, mogła dostrzec podobieństwo do twarzy, którą

zapamiętała. Jego zachowanie, ton jego głosu i sposób mówienia przekonały ją, że to naprawdę Alfred. Pożegnała zhańbionego, wydziedziczona, rozwiązłego chłopca. Pamiętała przystojną, bladą twarz z jej słabościami, cieniami, i niedbałym uśmiechem, z papierosem wiecznie w ustach. Minęły lata i teraz oglądała mężczyznę. To Zachód uczyił z niego człowieka. Madeline Hammond poczuła wielką, żarliwą radość i wdzięczność, a jej nągła, zainspirowana ostatnimi wydarzeniami niechęć do Zachodu osłabła.

– Wasza Wysokość, dobrze, że przyjechałaś. Jestem splukany. Ale to teraz nieważne. Opowiedz mi o moim bracie.

I Madeline mu opowiedziała, a potem o ich siostrze Helen. Zasytał ją pytaniami, a ona opowiedziała mu o ich matce, o ciotce Grace, która zmarła w zeszłym roku, o jego starych znajomych, którzy pożenili się, rozproszyli i gdzieś przepadli. Nie wspomniała mu tylko o ojcu, bo nie pytał.

Nagle lawina pytań ustała; zaniemówił, milczał przez chwilę, a potem wybuchnął płaczem. Miała wrażenie, że to długo skrywana gozycz znalazła w końcu ujście. Jego widok sprawiał jej ból, ale jego płacz bolał ją jeszcze bardziej. W ciągu tych kilku chwil stał się jej bliższy, niż kiedykolwiek wcześniej. Czy ojciec i matka właściwie go potraktowali? Puls jej przyspieszył. Nic nie powiedziała, ucałowała go tylko, co było dla niej wyrazem szczególnego uczucia. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, nie wspomniał o swoim załamaniu, ona też nie, ale ta scena głęboko zapadła w serce Madeline Hammond. Dzięki temu zrozumiała, co stracił, a co zyskał.

– Alfred, dlaczego nie odpisałeś na moje ostatnie listy? – spytała Madeline. – Od dwóch lat nie miałam od ciebie żadnej wiadomości.

– Tak długo? Jak ten czas leci! Od ostatniego listu od ciebie nie najlepiej mi się działo. Chciałem napisać pewnego dnia, ale nigdy się do tego nie zabrałem.

– Coś poszło nie tak? Opowiedz mi.

– Wasza Wysokość, nie możesz zamartwiać się moimi kłopotami. Chcę, żebyś cieszyła się swoim pobytam tutaj i nie przejmowała moimi problemami.

– Proszę, powiedz mi. Podejrzywałam, że coś jest nie tak, dlatego też po części zdecydowałam się na przyjazd.

– No dobrze, jeśli już musisz wiedzieć – zaczął, a Madeline wydawało się, że nawet się ucieszył, że może się komuś zwierzyć. – Pamiętasz moje małe ranczo, i to, że przez jakiś czas dobrze mi szło z hodowlą bydła? Napisałem ci o tym. Wasza Wysokość, człowiek wszędzie robi sobie wrogów. Człowiek ze Wschodu może narobić ich sobie na Zachodzie, jeśli nie zbyt wielu, to z pewnością bardziej zaciekle. W każdym razie narobiłem sobie kilku. Był taki hodowca bydła, Ward się nazywał – już go nie ma – on i ja kłóciliśmy się o bydło. Miałem w związku z tym pewne komplikacje. Pat Hawe, tutejszy szeryf, odegrał znaczącą rolę w uszkodzeniu moim interesom. Nie taki wielki z niego ranczer<sup>1</sup>, ale ma wpływy w Santa Fe, El Paso<sup>2</sup> i Douglas<sup>3</sup>. Stał się moim wrogiem. Nigdy nic mu nie zrobiłem. On nienawidzi Gene’a Stewarta. Pewnego razu pokrzyżowałem mu szyki i Gene wymknął się z jego łap. Jednak prawdziwym powodem jego niechęci do mnie jest to, że kocha Florence, a Florence ma zamiar wyjść za mnie.

– Alfred!

– O co chodzi, Wasza Wysokość? Czy Florence nie zrobiła na tobie pozytywnego wrażenia? – spytał, rzucając jej bystre spojrzenie.

– Tak... w rzeczy samej. Lubię ją. Tylko nie myślałam o was w taki sposób. Bardzo mnie to zaskoczyło. Alfredzie, czy ona jest dobrze urodzona? Jakie ma koneksje?

– Florence to zwykła dziewczyna. Urodziła się w Kentucky<sup>4</sup>, wychowała w Teksasie<sup>1</sup>. Moja arystokratyczna i zamożna rodzina wzgardziłaby...

---

<sup>1</sup> *Ranczer* – właściciel rancza, farmer.

<sup>2</sup> *El Paso* – miasto w USA, w stanie Teksas, nad rzeką. Rio Grande, leżące naprzeciwko meksykańskiego miasta Juárez.

<sup>3</sup> *Douglas* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Arizona, w hrabstwie Cochise. W mieście jest przejście graniczne prowadzące do meksykańskiej miejscowości Agua Prieta, leżącej w stanie Sonora.

<sup>4</sup> *Kentucky* – stan w środkowowschodniej części USA, na Nizinach Wewnętrznych, między Appalachami a Missisipi, na południe od rzeki Ohio.

– Alfredzie, nadal jesteś Hammondem – oświadczyła Madeline z podniesioną głową.

Alfred roześmiał się.

– Nie będziemy się teraz o to spierać, Wasza Wysokość. Znam cię, i pomimo twej dumy wiem, że masz dobre serce. Jeśli zostaniesz tu z miesiąc, pokochasz Florence Kingsley. Chcę, abyś wiedziała, że miała duży udział w sprowadzeniu mnie na właściwą drogę... No cóż, idźmy dalej. Jest jeszcze Don Carlos, meksykański ranczer, mój największy wróg. Jest również zagorzałym wrogiem Billa Stillwella i innych farmerów. Nawiasem mówiąc, Stillwell jest moim przyjacielem i jednym z najlepszych ludzi na ziemi. Miałem dług u Don Carlosa, zanim się zorientowałem, jaki jest podły. Najpierw straciłem pieniądze grając w *faro*<sup>2</sup> – trochę grałem, kiedy przybyłem na Zachód – a potem zawarłem kilka nierozsądnych transakcji w związku z hodowlą bydła. Don Carlos to podstępny *Greaser*, zna pastwiska, ma dostęp do wody i jest nieuczciwy. Oszukał mnie. A teraz jestem praktycznie zrujnowany. Nie przejął mojego rancza, ale to tylko kwestia czasu. W Santa Fe toczą się procesy sądowe. Na chwilę obecną posiadam kilkaset sztuk bydła pasących się na pastwisku Stillwella, a ja jestem jego zarządcą.

– Zarządcą? – zdziwiła się Madeline.

– Jestem po prostu szefem kowbojów Stillwella, i lubię moją pracę.

Madeline poczuła, jak w środku wszystko się jej gotuje. Zachowanie spokoju na zewnątrz wymagało od niej sporego wysiłku. Irytowała ją także świadomość powracającego uczucia nowych, niepokojących ją emocji. Zaczęła właśnie dostrzegać, jak odgradzone od niezwykłego, niebanalnego, skłaniającego do refleksji wydarzeń i doznań było jej luksusowe życie.

---

<sup>1</sup> *Teksas* (ang. Texas) – stan w południowej części USA, nad Zatoką Meksykańską, graniczy na południu (wzdłuż rzeki Rio Grande) z Meksykiem.

<sup>2</sup> *Faro* – jedna z najstarszych gier hazardowych rozgrywanych w karty, nazwana podobno na podstawie zdjęcia faraona na niektórych francuskich kartach do gry; ulubiona gra wysoko postawionych hazardzistów w całej Europie aż do XIX wieku; *faro* zostało wprowadzone do Stanów Zjednoczonych w Nowym Orleanie; powszechne w amerykańskich salonach gier, zwłaszcza na Zachodzie do 1915 roku, gra zniknęła ok. 1925 roku, z wyjątkiem kilku kasyn w Nevadzie.



– Czy nie można odzyskać twej własności? – spytała. – Ile jesteś winien?

– Dziesięć tysięcy dolarów spłaciłoby długi i dałoby mi nowy start. Tak, Wasza Wysokość, w tym kraju to duża suma i nie jestem w stanie jej zdobyć. Stillwell jest w gorszej sytuacji ode mnie.

Madeline podeszła do Alfreda i oparła dłonie na jego ramionach.

– Nie możemy mieć długów.

Wpatrywał się w nią, jakby jej słowa przypomniały mu coś, co dawno już zapomniał. Nagle uśmiechnął się.

– Ależ ty jesteś apodyktyczna! Zapomniałem już, kim moja piękna siostra naprawdę jest. Wasza Wysokość, chyba nie zamierzasz zaproponować mi, abym przyjął od ciebie pieniądze?

– Właśnie, że tak.

– No cóż, nie zgodzę się na to. Nigdy tego nie robiłem, nawet gdy chodziłem do college'u, a wtedy byłem jeszcze gorszy niż teraz.

– Posłuchaj, Alfredzie – kontynuowała żarliwie dalej. – To zupełnie coś innego. Wtedy miałam tylko swoje kieszonkowe. Nie miałeś jak się dowiedzieć, że od mojego ostatniego listu do ciebie odziedziczyłam spadek po cioci Grace. To było... no cóż, to nie ma znaczenia. Nie byłam w stanie wydać nawet połowy dochodu. To są moje pieniądze, nie ojca. Będę bardzo szczęśliwa, jeśli zgodzisz się je przyjąć. Alfred, jestem zadziwiona twoją przemianą. Tak się cieszę. Od teraz nie wolno ci już oglądać się wstecz. Co to jest dla mnie dziesięć tysięcy dolarów? Czasem wydaję tyle w miesiąc. Wyrzucam pieniądze w błoto. Jeśli pozwolisz sobie pomóc, będzie to zarówno dobre dla ciebie, jak i dla mnie. Proszę, Alfred.

Ucałował ją, najwyraźniej zaskoczony jej determinacją. Sama Madeline była nią zaskoczona. Kiedy już zaczął, z jego ust popłynął potok słów.

– Zawsze byłaś najlepsza, Wasza Wysokość. A jeśli tak bardzo ci na tym zależy, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, z przyjemnością przyjmę tę pomoc. To wspaniale. Florence oszaleje z radości. I ten *Greaser* przestanie mnie nękać. Wasza Wysokość, wkrótce pewien utytułowany młodzieniec będzie wydawał twoje pieniądze. Równie

dobrze mogę trochę z tego skorzystać, zanim on dostanie wszystko – zakończył żartobliwie.

– Co ty o mnie wiesz? – zapytała beztrako.

– Więcej niż ci się wydaje. Choć żyjemy tu, w tej zapadłej dziurze na Zachodzie, to również docierają do nas wiadomości. Wszyscy wiedzą o Anglesburym. I o księciu Dago, który uganiał się za tobą po całej Europie, i że lord Castleton prowadzi teraz w tym wyścigu, i wygląda na to, że może go wygrać. Co ty na to, Wasza Wysokość?

Madeline wyczuła w jego wesołej przemowie aluzję sugerującą pogardę i lekceważenie. A głęboko w jego badawczym spojrzeniu dostrzegła płomień. Zamyśliła się. Zapomniała o Castletonie, Nowym Jorku, całym towarzystwie.

– Alfred – zaczęła poważnie – nie sądzę, żeby jakkolwiek utytułowany dżentelmen kiedykolwiek wydawał moje pieniądze, jak to elegancko ująłeś.

– Nie dbam o to. Chodzi o ciebie! – zawołał z pasją i chwycił ją z gwałtownością, która ją zaskoczyła. Był biały jak prześcieradło; jego oczy płonęły. – Jesteś taka wspaniała... taka cudowna. Ludzie nazywają cię amerykańską pięknoscią, ale jesteś kimś więcej. Jesteś amerykańską dziewczyną! Wasza Wysokość, nie wychodź za nikogo, jeśli go nie kochasz. Kochaj Amerykanina. Trzymaj się z dala od Europy dopóki, dopóty nie poznasz mężczyzn – prawdziwych mężczyzn ze swojego własnego kraju.

– Alfredzie, obawiam się, że amerykańskie dziewczęta nie zawsze znajdują prawdziwych mężczyzn i prawdziwą miłość w małżeństwach z cudzoziemcami, ale Helen jest tego świadoma. To będzie jej wybór. Będzie nieszczęśliwa, jeśli poślubi Anglesbury'ego.

– Dobrze jej tak – oświadczył brat. – Helen zawsze zabiegała o splendor, uwielbienie i sławę. Założę się, że nigdy nie dostrzegła niczego w Anglesburym, poza jego złotem i medalami na jego piersi.

– Przykro mi to mówić. Anglesbury to dżentelmen, ale myślę, że chodzi mu tylko o pieniądze. Alfredzie, powiedz mi, jak dotarły tu do ciebie wieści o mnie? Możesz się domyślić, jak się zdziwiłam, gdy odkryłam, że panna Kingsley zna mnie jako Waszą Wysokość Hammond.

– Mogę sobie wyobrazić twoje zaskoczenie – odpowiedział ze śmiechem. – Opowiedziałem Florence o tobie i dałem jej twoje zdjęcie. Oczywiście, jak to kobieta, pokazywała wszystkim zdjęcie i mówiła o tobie. Uwielbia cię. A poza tym, moja droga siostrzo, od czasu do czasu dostajemy tu nowojorskie gazety i potrafimy czytać. Możesz nie zdawać sobie sprawy, ale ty i twoi przyjaciele z towarzystwa jesteście przedmiotem wielkiego zainteresowania w całych Stanach Zjednoczonych, a w szczególności na Zachodzie. W gazetach jest pełno informacji na twój temat, i wiele rzeczy, których nigdy nie zrobiłaś.

– Pan Stewart też o tym wiedział. Powiedział: „Czyż to nie Wasza Wysokość Hammond?”.

– Nie zwracaj uwagi na jego zuchwalstwo! – wykrzyknął Alfred, po czym znów się roześmiał. – Gene jest w porządku, musisz go tylko trochę poznać. Powiem ci, co zrobił. Zdobył jedną z tych twoich fotografii z gazety – tę z „Timesa”<sup>1</sup>; zabrał ją i na przekór Florence nie chciał jej oddać. Ta fotografia przedstawiała ciebie w stroju jeździeckim na swoim zwycięskim koniu, udekorowanym niebieską wstążką<sup>2</sup>, na Białych Skarpetkach – pamiętasz? Była zrobiona w Newport. Tak więc Stewart powiesił to zdjęcie w swoim baraku i nazwał swego wspaniałego konia Majesty. Wszyscy kowboje to wiedzieli. Widzieli zdjęcie i niemiłosiernie mu dokuczali. Ale on się tym nie przejmował. Pewnego dnia wpadłem na niego, gdy dochodził właśnie do siebie po hulance. Również zobaczyłem to zdjęcie i powiedziałem mu: „Gene, gdyby moja siostra wiedziała, że jesteś pijakiem, nie byłaby zachwycona widząc swoje zdjęcie w twoim pokoju”. Wasza Wysokość, on przez cały miesiąc nie tknął ani kropli, a kiedy znów się napił, zdjął fotografię i nie powiesił jej już z powrotem.

Madeline uśmiechnęła się, słysząc rozbawienie w głosie brata, ale nic nie powiedziała. Po prostu nie potrafiła odnaleźć się w tych dziwnych, swobodnych zachodnich zwyczajach. Jej brat wymownie zaklinał ją, żeby nie angażowała się w haniebny i błyskotliwy zwią-

---

<sup>1</sup> „*New York Times*” – amerykański dziennik wydawany od 1851 w Nowym Jorku.

<sup>2</sup> *Niebieska wstążka* – pierwsza nagroda w postaci niebieskiego emblematu, odznaki lub dekoracyjnej wstążki.

zek, a mimo to nie tylko pozwolił kowbojowi zatrzymać jej fotografię w pokoju, ale jeszcze mówił o niej i użył jej imienia w wykładzie na temat abstynencji. Madeline poczuła niesmak. Uratowała ją jednak, ni mniej ni więcej, tylko naiwna radość brata, że dzięki subtelnej sugestii Stewart na miesiąc się poprawił. Coś z tupetu Stewarta; ze spotkania z Florence Kingsley, szczerego, jakby były sobie równe; spokojnego, cichego i prostego przyjęcia przez starszą siostrę gościa, który był zapraszany na dwory królewskie; tej słabej nutce pogardy w głosie Alfreda, i jego rozbawionym oświadczeniu na temat jej fotografii i imienia Wasza Wysokość – to wszystko razem wzięte uraziło w jakiś sposób dumę Madeline, na chwilę ją zraziło, a potem pobudziło jej inteligencję, wzbudziło jej zainteresowanie i sprawiło, że postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego niezrozumiałego Zachodu.

– Wasza Wysokość, muszę pędzić na bocznicę kolejową – powiedział Alfred, spoglądając na zegarek. – Będziemy wysyłać transport bydła. Zjawię się z powrotem na kolację i przyprowadzę ze sobą Stillwella. Polubisz go. Daj mi kwit na swój bagaż.

Poszła do małej sypialni i wzięwszy do ręki torebkę, wyjęła z niej kilka kwitów.

– Sześć! Sześć kufrow! – wykrzyknął. – No cóż, cieszę się, że masz zamiar zostać tu na dłużej. Posłuchaj, Wasza Wysokość, głębsze poznanie ciebie zajmie mi dokładnie tyle czasu, co przejście przez ciebie chrztu bojowego na Zachodzie. Mam nadzieję, że spakowałaś strój do jazdy konnej. Jeśli nie, będziesz musiała założyć spodnie! Zresztą będziesz musiała to zrobić, kiedy pojedziemy w góry.

– Nie!

– Ależ tak, z pewnością, jak mówi Florence.

– Jeszcze zobaczymy. Nie wiem, co jest w kufrach. Nigdy nie pakuję się sama. Od czego mam służące, drogi bracie?

– Jak to się stało, że nie podróżujesz z pokojówką?

– Chciałam być sama, ale nie martw się. Sama o siebie zadbam. Ośmielę się nawet stwierdzić, że dobrze mi to robi.

Odprowadziła go do bramy.

– A cóż to za kudłaty i brudny koń! I na dodatek dziki. Pozwalasz mu tak stać, bez postronka? Może uciec.

– Ależ żółtodziób<sup>1</sup> z ciebie! Kowboje będą mieli z ciebie niezły ubaw, Wasza Wysokość.

– Och, czyżby? – spytała, usztywniając się.

– Tak, a za trzy dni wszyscy będą się o ciebie bić i to mnie martwi. Kowboje zakochują się w zwyczajnej, prostej kobiecie, brzydkiej kobiecie, każdej kobiecie, jeśli tylko jest młoda. A ty! Dobry Boże! Oszaleją na twój widok.

– Żarty sobie stroisz, Alfredzie. Myślę, że raczej chwilowo mam dość kowbojów, a jestem tu od niecałych dwudziestu czterech godzin.

– Nie bierz sobie zbyt do serca pierwszych wrażeń. Popełniłem ten sam błąd, kiedy tu przyjechałem. Do widzenia. Pojadę już. Lepiej odpocznij trochę, bo wyglądasz na zmęczoną.

Koń ruszył, gdy tylko Alfred wsunął stopę w strzemień, i był już w pełnym biegu, kiedy jeździec przerzucał nogę przez siodło. Madeline obserwowała go z podziwem. Siedział luźno w siodle, poruszając się rytmicznie, stanowiąc jedność z koniem.

– Widocznie to kowbojski styl. Podoba mi się – powiedziała do siebie. – Jakże różni się od stylu jeźdźców ze Wschodu.

Potem Madeline siadła na werandzie i zaczęła z zainteresowaniem przyglądać się swemu otoczeniu. Najbliższa okolica zdecydowanie nie była zbyt atrakcyjna. Ulicę pokrywała gruba warstwa kurzu, a chłodny wiatr podrywał go do góry, tworząc małe tornada. Domy wzdłuż ulicy były niskimi, kwadratowymi konstrukcjami z płaskimi dachami, wykonanymi z jakiegoś czerwonego cementu. Nagle przypomniało się jej, że ten materiał budowlany, to musi być suszona na słońcu cegła, o której czytała. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Miało się wrażenie, że długa ulica ciągnie się w nieskończoność, choć linia domów nie sięgała aż tak daleko. Do jej uszu dobiegł raz odgłos końskich kopyt, dochodzący z pewnej odległości, i kilkakrotnie dźwięk dzwonka lokomotywy. Madeline zastanawiała się gdzie są góry. Nagle nisko nad dachami domów dostrzegła niewyraźny, ciemnoniebieski, postrzępiony zarys. Przykuł jej wzrok i oczarował ją. Znała

---

<sup>1</sup> *Żółtodziób* – pot.: dorastający, niedoświadczony chłopak.

Adirondack<sup>1</sup>, oglądała Alpy ze szczytu Mont Blanc<sup>2</sup>, i stała w rozległym, ciemnym, biało zakończonym cieniu Himalajów, ale nie przyciągały jej takim magnetyzmem jak te odległe Góry Skaliste<sup>3</sup>. Ta ciemna linia horyzontu, wyraźnie odcinająca się na błękitcie nieba, była fascynująca. Madeline przypomniało się, jak Florence Kingsley wspominała o „przyzywających ją górach”. Nie odbierała tego w taki sposób. Miała raczej wrażenie, że góry są odległe, nieosiągalne, że jeśli się do nich zbliżyć, to odsuną się lub znikną jak pustynny miraż<sup>4</sup>.

Madeline udała się do swego pokoju, żeby trochę odpocząć, i zasnęła. Obudziło ją pukanie do drzwi i głos Florence.

– Panno Hammond, pani brat wrócił ze Stillwellem.

– Ależ długo spałam! – wykrzyknęła Madeline. – Już prawie szósta godzina.

– To dobrze. Była pani zmęczona, a tutejsze powietrze przyprawia przybyszów o senność. Proszę przyjść, chcemy, żeby poznała pani starego Billa. Nazywa siebie ostatnim hodowcą bydła. Całe swoje życie spędził tutaj i w Teksasie.

Madeline podażyła za Florence na werandę. Jej brat siedział przy drzwiach. Zerwał się i zawołał:

– Witaj, Wasza Wysokość! – objął ją ramieniem i skierował w stronę potężnego mężczyzny o szerokiej, pobrużdżonej, pokrytej zmarszczkami twarzy. – Chcę ci przedstawić mojego przyjaciela, Stillwella. Bill, to moja siostra, ta, o której często ci opowiadałem – Wasza Wysokość.

– Proszę, proszę, Al, jestem ogromnie zaszczycony – odpowiedział Stillwell donośnym głosem. Wyciągnął ogromną dłoń. – Panno... panno Wasza Wysokość, twoja osoba jest tak mile widziana, jak deszcz i kwiaty dla starego hodowcy bydła na pustyni.

---

<sup>1</sup> *Adirondack* (ang. Adirondack Mountains, Adirondacks) – łańcuch górski położony w północno-wschodniej części stanu Nowy Jork, niedaleko granicy z Kanadą.

<sup>2</sup> *Mont Blanc* – najwyższy szczyt w masywie Mont Blanc w Alpach Zach., na pograniczu Francji, Włoch i Szwajcarii.

<sup>3</sup> *Góry Skaliste* (ang. Rocky Mountains) – góry w zachodniej części Ameryki Północnej, wschodnia część Kordylierów.

<sup>4</sup> *Miraż* (fr.) – zjawisko optyczne w atmosferze ziemskiej polegające na powstawaniu obrazów (pojedynczych lub wielokrotnych, prostych lub odwróconych) przedmiotów oddalonych od obserwatora i zwykle normalnie niewidocznych.

Madeline powitała go i to było wszystko, co mogła uczynić, by stłumić okrzyk bólu z powodu sposobu, w jaki zgniótł jej dłoń w żelaznym uścisku. Był stary, siwowłosy, o ogorzalej, zahartowanej przez pogodę twarzy, z długimi bruzdami wzdłuż policzków i szarymi oczami, prawie niewidocznymi przez zmarszczki i fałdy. Jeśli się uśmiechał, wydawało się, że był to bardzo specyficzny uśmiech. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, iż istotnie uśmiechnął się, bo gdy jego twarz przestawała się marszczyć i poważniała, nagle zaczynała przypominać wykutą prymitywnie w kamieniu rzeźbę. Na twarzy tego starego człowieka widoczna była ta sama surowość, jaką zauważyła u Stewarta, tylko znacznie nasiloną.

– Panno Wasza Wysokość, to straszna hańba dla nas wszystkich, że nie byliśmy na miejscu, aby panią powitać – rzekł Stillwell. – Al i ja wstąpiliśmy na pocztę i powiedzieliśmy im parę słów do słuchu. Depesze powinny były dotrzeć na ranczo. Obawiam się, że wczoraj w nocy na stacji było trochę nieprzyjemnie.

– Na początku czułam się raczej zaniepokojona i nieco przestraszona – odpowiedziała Madeline.

– Cóż, z przyjemnością mogę pani powiedzieć, że w tych stronach nie ma innego człowieka, poza pani bratem oczywiście, którego tak chętnie bym widział witającego panią, jak Gene’a Stewarta.

– Doprawdy?

– O tak, i to biorąc już pod uwagę słabość Gene’a. Lubię mówić o sobie, że jestem ostatnim ze starych hodowców bydła. Stewart nie jest rodowitym mieszkańcem Zachodu, ale z pewnością jest moim ostatnim z kowbojów. Jest młody, to prawda, ale ostatni w starym stylu – interesujący i rycerski zarazem. Ośmielam się nawet twierdzić, panno Wasza Wysokość, że również znakomicie jeździ konno. Ludzie gadają na Stewarta. Mówię o nim dobre słowo, bo właśnie ma problemy i ostatniej nocy mógł panią przestraszyć, a pani przyjechała świeżo ze Wschodu.

Madeline polubiła starego człowieka za jego lojalność wobec kowboja, o którego najwyraźniej się troszczył, ale ponieważ nie wydawało jej się, aby miała coś do powiedzenia, milczała.

– Panno Wasza Wysokość, dni hodowców bydła są policzone i dni kowbojów, takich jak Gene Stewart, również. Nie ma dla niego miejsca. Gdyby to nie były współczesne czasy, prawdopodobnie stałby się rewolwerowcem, takim samym, jakich mieliśmy w Teksasie, kiedy w latach siedemdziesiątych miałem tam ranczo. Teraz nigdzie nie może znaleźć sobie miejsca; nie ma pracy i schodzi na psy.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała cicho Madeline. – Ale, panie Stillwell, czy obecne czasy nie są jeszcze trochę dzikie? Konduktor z mojego pociągu opowiadał mi o rebeliantach, bandytach i rzezi-mieszkach. Potem miałam różne inne wrażenia i odczucia i, no cóż, były dla mnie wystarczająco burzliwe.

– Prawda, obecne czasy są przyjemniejsze i bardziej ekscytujące niż poprzednie lata – odrzekł Stillwell. – Chłopcy znowu zaczęli nosić przy sobie broń, ale to przez tę rewolucję w Meksyku. Na granicy będą kłopoty. Pewnie ludzie na Wschodzie nawet nie wiedzą, że tu jest rewolucja. Madero<sup>1</sup> przegna Diaza<sup>2</sup>, a potem jakiś inny rebeliant przegoni Madero, a to oznacza kłopoty na granicy i za granicą. Nie zdziwiłbym się, gdyby Wuj Sam<sup>3</sup> wmieszał się do tej gry. Zdarzały się już napady rabunkowe na kolei i w dolinie Rio Grande. A te małe miasteczka są pełne *Greasers*, a wszyscy oni są poddenerwowani walkami w Meksyku. Mieliśmy już tu strzelaniny, walki na noże i kradzieże bydła. Ja też straciłem kilka sztuk. Przypominają mi się stare czasy i wkrótce, jeśli to się nie skończy, użyję starych sposobów, by to za-trzymać.

– To prawda, Wasza Wysokość – wtrącił się Alfred. – Trafiałaś z wizytą na interesujący moment.

– Ano, na to wygląda – przyłączył się Stillwell. – Stewart popadł dziś w kłopoty, i bardzo mi przykro, że muszę to powiedzieć, ale padło tam pani imię. Nie winię go jednak, sam z pewnością postąpiłbym tak samo.

– Doprawdy? – spytał Alfred, śmiejąc się. – Opowiedz nam o tym.

---

<sup>1</sup> *Madero Francisco Indalencio (Ignacio)* (1873-1913) – meksykański polityk.

<sup>2</sup> *Diaz Porfirio* (1830-1915) – meksykański generał, prezydent i dyktator

<sup>3</sup> *Wuj Sam* (ang. Uncle Sam) – przezwisko oraz postać symbolizujące Stany Zjednoczone.



Madeline rzuciła bratu ukradkowe spojrzenie, i choć wyglądał na ubawionego jej zakłopotaniem, na jego twarzy widoczna była troska.

Madeline pomyślała, że nie potrzeba tu zbyt wielkiej przenikliwości, aby zauważyć, że Stillwell uwielbia rozmawiać, a sposób, w jaki siedział, wyprostowany, jak oparł swe ogromne dłonie na kolanach, sugerował, że ma zamiar dobrze wykorzystać nadarżającą się okazję.

– Panno Wasza Wysokość, tak sobie myślę, że skoro jest pani teraz na Zachodzie, to musi pani brać rzeczy takimi, jakimi są i nie myśleć o nich za dużo. Gdybyśmy my, starzy faceci, tak nie postępowali, nigdy byśmy tutaj nie przetrwali. Ostatnia noc nie była szczególnie zła, biorąc pod uwagę poprzednie. Niewiele się działo, ale ja miałem ambarras. Wczoraj, kiedy wyruszyliśmy ze stadem bydła, wysłałem przodem jednego z moich kowbojów – Danny’ego Mainsa z pieniędzmi, które były na opłatę moich rachunków, i chciałem, aby te pieniądze dotarły do miasta przed zmierzchem. Ktoś napadł na Danny’ego. Ufam temu chłopakowi. Ostatnio w mieście kręcą się dziwni Meksykanie i może wiedzieli o tych pieniądzech.

Kiedy przybyłem tu z bydłem, musiałem jakoś związać koniec z końcem. A dziś nie byłem w najlepszym humorze. Gdy pozalaźwiałem już swoje interesy, zacząłem kręcić się tu i ówdzie, węsząc, próbując trafić na ślad moich pieniędzy. Wstąpiłem do sali, która pełni rolę więzienia, szpitala, sali wyborczej, i czego tam jeszcze się chce. W owym momencie był to akurat szpital.

Ubiegłej nocy była tam *fiesta*. Ci Meksykanie bawią się co tydzień, albo nawet częściej, a jeden z nich, który został poważnie ranny, leżał w holu, dokąd przyniesiono go ze stacji. Ktoś posłał do Douglas po lekarza, ale ten jeszcze nie przybył. Mam pewne doświadczenie z ranami postrzałowymi i obejrzałem ranę chłopaka. Nie była zbyt poważna, ale istniało niebezpieczeństwo zakażenia krwi. W każdym razie zrobiłem, co mogłem.

Sala była pełna kowbojów, ranczerów, Meksykanów, górników, mieszkańców miasteczka, wraz z kilkoma nieznanymi. Miałem właśnie zamiar wyjść, kiedy wszedł Pat Hawe.

Pat, to szeryf. Tak sobie myślę, panno Wasza Wysokość, że osoba szeryfa to dla pani coś nowego, ale przez wzgląd na Zachód wyja-

śnię pani, że nie ma tu już zbyt wielu prawdziwych stróżów prawa. Garrett, który zabił Billa Kida<sup>1</sup> i sam zginął mniej więcej rok temu – był takim szeryfem, który przyczynia się do tworzenia szanującego się kraju. Ale ten Pat Hawe – chyba nie ma sensu, żebym mówił, co naprawdę o nim myślę – wszedł do sali i zaczął wrzeszczeć. Zobaczył Danny’ego Mainsa i chciał go aresztować. Uprzejmie poinformowałem Pata, że pieniądze były moje i nie musi robić z tego powodu rabanu, a gdybym chciał znaleźć złodzieja, to mógłbym równie dobrze zrobić to sam. Pat wrzeszczał, że prawo jest prawem, i że on ma zamiar je ustanowić. Było jasne dla mnie, że Pat uparł się, aby aresztować pierwszego człowieka pod byle pretekstem.

Po chwili trochę się uspokoił i zaczął wypytywać o rannego Meksykanina, kiedy wszedł Gene Stewart. Ilekroć Pat i Gene się spotkają, przypomina mi to wczesne lata siedemdziesiąte. Oczywiście wszyscy zamilkli, a to dlatego, że Pat nienawidzi Gene’a, i wydaje mi się, że Gene nie jest mu dłużny. Po pierwsze, to naturalni wrogowie, a przebieg wypadków tutaj, w El Cajon, pogorszył tylko całą sprawę.

„Witaj, Stewart! Właśnie ciebie szukałem” – powiedział Pat.

Stewart spojrział na niego i rzekł chłodnym, opanowanym i sarkastycznym tonem:

„Hawe, rozglądasz się, ale tak naprawdę skrycie masz nadzieję, że mnie nie znajdziesz”.

Pat poczerwieniał, ale pohamował się.

„– Słuchaj, Stewart, ciągle zajmujesz się tym swoim dereszowatym<sup>2</sup> koniem o arystokratycznym imieniu?”

– Tak – krótko odpowiedział Gene.

– A zatem, gdzie on jest?

– Nie twoja sprawa, Hawe.

---

<sup>1</sup> Pat *Garrett* (właśc. Patrick „Pat” Floyd Garrett, 1850-1908) – amerykański stróż prawa, barman i agent celny z Dzikiego Zachodu, znany głównie jako zabójca Billy’ego Kida; *Billy Kid* (Billy the Kid, właśc. William Bonney lub William Henry McCarty, 1859-1881) – amerykański rewolwerowiec, jeden z najsłynniejszych przestępców Dzikiego Zachodu; uczestnik osławionej wojny w hrabstwie Lincoln, oskarżany był o zabójstwo 21 osób.

<sup>2</sup> *Dereszowata maść* – ubarwienie sierści koni charakteryzujące się występowaniem domieszki białej sierści na tle maści podstawowej.

– Oho! Nie moja, tak? Ale może stać się moją sprawą. Stewart, ostatniej nocy miały miejsce dziwne zajścia, na których temat pewnie coś wiesz. Danny Mains został obrabowany, pieniądze Stillwella przepadły, twój dereszowaty koń zniknął, ta mała lafirynda Bonita też, a ten tu oto *Greaser* ledwie dycha. Wiedząc, że nie spałeś wczoraj do późna i kręciłeś się po stacji, na której go znaleziono, nie jest to chyba takie niedorzeczne sądzić, że możesz coś wiedzieć na temat, w jaki sposób zarobił tę kulkę – nieprawdaż?”

Stewart zaśmiał się lodowatym głosem, skrzył papierosa, cały czas spoglądając na Pata, a potem powiedział, że gdyby to on postrzelił tego Meksykanina, to zrobiłby to dużo lepiej.

„– Mogę cię aresztować pod zarzutem, Stewart, ale zanim posunę się tak daleko, potrzebuję dowodów. Chcę wypytać Danny’ego Mainsa i tę małą Meksykankę, Chcę się dowiedzieć, co się stało z twoim koniem. Odkąd go nabyłeś, nigdy nikomu go nie pożyczasz, a po drugiej stronie granicy nie ma wystarczająco wielu jeźdźców, by ktoś ci go ukradł. To zniknięcie konia wygląda podejrzanie.

– Świetny z ciebie detektyw, Hawe, i życzę ci powodzenia” – odrzekł Stewart.

Pat wściekł się, zaczął tupać i przeklinać. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Twarz mu pojaśniała i zaczął wymachiwać palcem przed nosem Stewarta.

„– Byłeś pijany wczorajszej nocy”?

Stewart nawet nie mrugnął.

„– Spotkałeś jakąś kobietę, czyż nie tak? – wykrzyknął Hawe.

– Spotkałem damę – odpowiedział Stewart cichym i groźnym głosem.

– Spotkałeś siostrę Ala Hammonda i zabrałeś ją do Kingsleyów. I posłuchaj tego, mój rycerski kowboju: jadę tam i mam zamiar zadać tej wielkiej damie kilka pytań, a jeśli będzie zachowywała się tak jak ty, jakby połknęła język, to ją zaaresztuję!”

Gene Stewart zbladł. Spodziewałem się, że skoczy na Pata jak pantera, co zwykł robić, gdy ktoś go wkurzył, ale on był spokojny. Długo myślał, po czym odezwał się:

„Pat, to bardzo głupi pomysł, lecz jeśli to zrobisz, pożałujesz do końca życia. Nie ma absolutnie żadnego powodu, by straszyć pannę Hammond, a próba jej aresztowania byłaby tak wielką hańbą, jakiej El Cajon jeszcze nie oglądało. Jeśli jesteś na mnie wściekły, pošlij mnie do więzienia, pójdę dobrowolnie. Jeśli chcesz ugodzić Ala Hammonda, idź i załatw to po męsku, ale nie wyładowuj się na nas obrażając damę, która przybyła tu tylko z wizytą. I tak nie mamy już najlepszej opinii, jeszcze tego brakuje, żeby porównywali nas do Meksykanów”.

Gene mówił długo, a ja byłem tak samo zaskoczony tą jego mową, jak i reszta chłopaków. Wyobraźcie sobie tylko Gene’a Stewarta przemawiającego spokojnie i słodko do tego szakala szeryfa o wściekłych ślepiach! A Pat uśmiechał się tak szatańsko, że gdyby coś w postaci Gene’a nie trzymało mnie w miejscu, sam bym wkroczył do tej gry. Stało się dla mnie jasne, i dla pozostałych, którzy później o tym rozmawiali, że Pat Hawe w swej nienawiści zapomniał o prawie i o stanowisku, jakie piastuje.

„Jadę, jadę w tej chwili!” – wrzasnął.

Potem zapadła taka cisza, że słychać było tykanie zegara na jakąś milę. Stewart zamarł, jakby oszołomiony myślą, że Hawe naprawdę ośmieli się na konfrontację z panią.

Wreszcie wybuchnął:

„Człowieku, zastanów się, kto to jest! To panna Hammond! Gdybyś ją zobaczył, będąc nawet odurzonym lub pijanym, nie... nie mógłbyś tego uczynić.

– Nie mógłbym? Czekaaj, ja ci pokażę. Co mnie obchodzi, kim ona jest? Te damulki ze Wschodu – słyszałem o nich. Nic wielkiego. Ta cała Hammond...”.

Nagle Hawe umilkł, a jego czerwona gęba pozieleniała, chwycił za broń.

Stillwell przerwał opowiadanie, aby zaczerpnąć tchu i otarł spoczone czoło, a jego twarz zaczęła tracić swą szorstkość. Zmieniła się, złagodniała, zmarszczyła, a ta cała dziwna ruchliwość została wyrażona we wspaniałym uśmiechu.

– A wtedy, panno Wasza Wysokość, coś się wydarzyło. Stewart wyrwał Patowi broń i rzucił ją na podłogę, a to, co stało się potem,

było piękne. Z pewnością był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem. Szkoda tylko, że trwał tak krótko! Chwilę później pojawił się lekarz, i poza rannym Meksykaninem miał jeszcze jednego pacjenta. Powiedział, że ten nowy będzie potrzebował jakiś czterech miesięcy, aby dojść do siebie i być znów wesołym jak skowronek. A Gene Stewart wjechał na szlak prowadzący w kierunku granicy.



**Chcesz przeczytać dalszą część?**

***Zapraszamy do księgarni!***